Świat Kobiecy

N-R 14 | 15 LIPCA 1931 R. | ROK XI



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N-R 14 — ROK XI | WARSZAWA — LWÓW | 15 LIPCA 1931 ROKU

JAK WYJŚĆ Z BŁĘDNEGO KOŁA?

Na powszechne nędze, biedy, zagadnienia współczesne każdy reaguje inaczej. Uczony patrzy na kryzys gospodarczy i bezrobocie jako na przedmiot godny badania. Ekonomista praktyczny pragnie jak najprędzej znaleźć sposoby wyjścia z groźnej i trudnej sytuacji; kupiec obniża ceny towarów, chcąc zyskać płynną gotówkę, a spożywca oszczędza grosza, by mu starczył na jak najdłuższe i najpewniejsze zaspokojenie potrzeb życia.

Przeciętna kobieta — niezależnie od swego zawodu i sytuacji życiowej — troszczy się w tym wypadku przedewszystkiem o cierpienie i radość, o niepowodzenie i szczęście rzesz ludzkich, o dolę rodzin i dzieci. Wnosi w atmosferę zagadnień pierwiastek uczuciowy — a przynajmniej cel jej badań naukowych i praktycznych będzie zawsze w końcu celem humanitarnym. Jej chodzi o żywego człowieka więcej, niż o oderwany problem.

Bardzo ciekawym przejawem tej myśli kobiecej wobec światowego kryzysu i bezrobocia jest wystąpienie, mające narazie charakter propagandowy, a polecające projekt zwalczania bezrobocia łącznie z akcją rozbrojeniową na terenie międzynarodowym.

Projekt ten w szkicowej postaci ulotek rozrzucany jest po świecie przez Kobiecą Międzynarodową Ligę Pokoju i Wolności z jej Sekretarjatu w Londynie i brzmi mniej więcej tak:

„Rozbrojenie oznacza ograniczenie zbrojeń: z czego wynikają zmniejszone wydatki i zmniejszone zatrudnienie pracowników w wytwórniach broni i amunicji. To znaczy, że będą ludzie zwolnieni z pracy, materjał i pieniądze zwolnione z produkcji, niezatrudnione. Wywoła to bezrobocie tem większe — powiecie. Lecz oba te czynniki: ludzie i pieniądze będą oswobodzone równocześnie.

„Pieniądze będą mogły i musiały być włożone do innych przedsiębiorstw, dając nową pracę niezatrudnionym ludziom. Bezrobocie, wywołane redukcją zbrojeń, byłoby w każdym razie stopniowe, gdyż i redukcja zbrojeń na zasadzie międzynarodowych porozumień może być dokonywana jedynie stopniowemi etapami. — Wszyscy dorożkarze konni nie znikli odrazu jednego dnia z ulic, gdyż i taksówki wprowadzano stopniowo. Nie sprzeciwialiśmy się wprowadzeniu taksówek z powodu, że wywoła to chwilowe bezrobocie wśród dorożkarzy, gdyż uważaliśmy taksówkę za postęp. Podobnie uznajemy i rozbrojenie za postęp. Dlatego nie wolno nam się mu sprzeciwiać, ze względu na możliwość chwilowego bezrobocia.

„Oswobodzenie sił ludzkich i pieniędzy przez zmniejszenie wydatków na zbrojenia wyjdzie tylko na dobre. Co się zyskuje wzamian za pracę ludzką i wydatki państwa na przemysł uzbrojeniowy? Zysk, jeśli chodzi o marynarkę, znaczy: okręty już przestarzałe, ledwie zostały zbudowane, zaś jeśli chodzi o armję lądową: narzędzia, przeznaczone na zniszczenie — a w obu wypadkach — zagwożdżenie kapitału, wielkiego nakładu bogactwa narodowego i trwonienie cennych surowców, jak żelazo, węgiel, nafta. Jeśli zgodzimy się, że zbrojenia są niebezpieczeństwem dla ludzkości a bronimy ich jedynie dlatego, że dają pracę ludności, to możemy równie dobrze dać ludziom pracę przy najprostszych inwestycyjnych robotach publicznych, które ulżą doli ludzkiej, nie będą kosztowały więcej, a będą o wiele mniej niebezpieczne.

„Jaki zaś zysk otrzymamy wzamian za pracę ludzką i kapitał narodowy, wciągnięty do jakiegokolwiek przedsiębiorstwa publicznego, które zatrudniłoby je po zwolnieniu z przemysłu wojennego? Zysk pod postacią zmniejszenia się ilości nor i spelunek a zwiększenie się ilości domów; będą to nowe i lepsze drogi, zalesienie kraju, meljoracje rolne, mosty i kanały, elektryfikacja, zwiększenie sieci telefonicznej i t. d. — wszelkie prace produktywne, to znaczy prace, powodujące krążenie kapitału ku pomnożeniu dobrobytu i zdolności narodu, jako całości — prace potrzebne, które muszą być kiedyś wykonane, a im prędzej, tem lepiej.

„Robotnicy i pracownicy, pozbawieni pracy w wytwórniach uzbrojenia, będą zwalniani, jak powiedziano wyżej, stopniowo, i będą mogli być niezwłocznie zatrudniani w robotach publicznych, do których nie potrzeba specjalistów. W miarę, jak będzie się dokonywało to przejście, fachowcy będą znajdowali pracę w przemysłach, potrzebujących ich wiedzy, jak budownictwo, przemysł maszynowy i t. d.

„Zresztą, redukowani z fabryk wojennych będą musieli w każdym razie otrzymywać odszkodowania, dopóki nie będzie dla nich wynaleziona inna praca, lub dla starców zapewniona emerytura. Koszty powinny być pokryte z oszczędności funduszów ubezpieczeniowych, nie powodując dodatkowych wydatków dla państwa.

„Program robót publicznych, w rodzaju naszkicowanego wyżej, mógłby pozatem wpłynąć korzystnie — w porównaniu z przemysłem wojennym — na ogół przedsiębiorstw, których powodzenie i wydajność zależy od rozbudowy kraju, ułatwionych transportów, taniej komunikacji i t. p. i zwiększyć stan zatrudnienia w tych przedsiębiorstwach.

„Co więcej, metoda stopniowego dokonywania rozbrojeń, to jest na podstawie uchwał konferencyj międzynarodowych i traktatów o redukcji i ograniczeniu zbrojeń, daje przemysłowi możność planowania zgóry i przystosowywania pojemności rynku do zatrudnienia robotników w innych dziedzinach wytwórczości.

„Nic zresztą w tem niema niemożliwego, by fabryki amunicji i przemysłu wojennego zamienić w fabryki materjałów niewojennych. W roku 1914 prawie każda fabryka mogła produkować coś, co było przydatne na cele wojenne, a w roku 1918 nie było już niemal w Europie fabryki, która nie byłaby wciągnięta w produkcję wojenną, a od tego czasu wszystkie znowu powróciły do innych wyrobów. Zadanie przekształcenia fabryk w roku 1914 wydaje się niemniej trudne, niż obecne zagadnienie wytwórni wojennego przemysłu. Jeśli udało się zrobić tamto — może się udać obecnie odwrotny proces.

„Najgroźniejsze okresy bezrobocia przypadały w każdym kraju w latach powojennych. Fakt ten jest jednym z najlepszych argumentów przeciw dalszej fabrykacji zbrojeń... prowadzonej choćby pod pretekstem dostarczenia pracy ludności. Jest to krótkowzroczna polityka, to jest błędne koło — wojna, bezrobocie, ustawiczna fabrykacja zbrojeń, nie przerywana rzekomo dlatego, by nie pomnażać rzesz bezrobotnych, znowu wojna (boć powszechnie jest stwierdzone, że zbrojenia są jedną z przyczyn wojen)... znowu bezrobocie... z tego błędnego koła musimy wyjść na inną drogę."

Tak wyglądają rady działaczek Międzynarodowej Ligi Pokoju i Wolności na temat bezrobocia.

Trzebaby je gruntownie analizować, by dowieść, czy są słuszne i czy mogą być skuteczne. Ale w tym powszechnym zamęcie, jaki stwarza kryzys światowy, każdy uczciwy nowy głos powinien być witany, jako poszukiwanie prawdy. Z każdego poglądu bowiem może spłynąć na świat choćby promień ulgi, choćby cząstka słuszności. Myśli kobiecej nie może braknąć w tym chórze ratowników uciśnionej ludzkości.

KR-A

EWA W ŻYCIU POLITYCZNEM

Na marginesie dzieła Dra Kinda *„Die Weiberherrschaft in der Geschichte der Menschheit"*

1) ROLA KOBIETY w życiu ludzkości jest znacznie poważniejsza, aniżeli na pierwszy rzut oka wydawaćby się mogło. Dominującą jest ona w znaczeniu ujemnem w tych czasach, kiedy panoszy się absolutyzm, a interesy państwa nie są identyczne z dobrem całego narodu. Idea antyczna, która mimo zewnętrznych pozorów święci swe triumfy aż po Rewolucję Francuską, tworzy nader odpowiednie warunki dla wszelkich ubocznych wpływów, wśród których siłą faktu wpływ *kobiety* nabiera często pierwszorzędnej wagi. Jest on w tym wypadku pozostałością dalekich epok lub odległych krajów, gdzie władzę wykonują wyłącznie kobiety. Badania historyczne wykazały niezbicie, że patrjarchat nie jest w rzeczywistości pierwszą formą życia społecznego, jeno nastąpił po matrjarchacie, a więc porządku opartym jedynie na panowaniu kobiet, ginakokracji. Początki tego ustroju sięgają bardzo dawnych czasów, przesyconych wprost magicznemi jeszcze elementami, kiedy to kobieta wydawała się prymitywnemu człowiekowi dzięki swej płodności uosobieniem wyższej siły, Matki-ziemi (światopogląd tellurystyczny). Mężczyzna natomiast znajduje się w całkowitej zależności od niej, czyto jako „samiec" (pojęcie „mąż" jest zupełnie obcem), czyto jako syn. Nadrzędność kobiety uwidacznia się w dalszym ciągu i w tem, że *ona* jest głową rodziny i plemienia, podczas gdy mężczyzna jest osobą nieznaną, obojętną, „numerus negidus". Na tem tle jasne jest zaistnienie całkowitej swobody seksualnej, nie jako wynik rozważań, lecz jako organiczny wycinek systemu socjalnego *(promiscuitas sexualis)*. Wszelkie stosunki pokrewieństwa określa się ze strony matki, wszelkie przywileje natury moralnej i materjalnej przypadają córce. Dzięki tej racji seksualnej i gospodarczej wzrasta i utrwala się coraz znaczniej stanowisko kobiety. W czasie pokoju i w czasie wojny posiada ona jedyny głos miarodajny. Legenda o państwie Amazonek jest zgodnem z prawdą wspomnieniem o regimie kobiet, podobnie jak i „państwo kobiet" czeskiej królowej Wlasta z VII wieku. Echem tych czasów jest również i legenda o pięknej Helenie, z powodu której toczy się 20 lat wojna trojańska. Jeszcze w okresie historycznym spotykamy ślady matrjarchatu, choć czasem w zmienionej formie: biblijna Debora jest i wodzem i sędzią i prorokiem. Wśród jakich warunków nastąpiła przemiana na korzyść mężczyzny, a więc patrjarchatu, uchyla się to dokładnej analizie. Odbyła się ona widocznie w myśl odwiecznych prawd natury, że akcja wywołuje reakcję. Ale i w tym czasie zachowują mimo istniejących ograniczeń kobiety ważne stanowiska: są kapłankami (Westalki), przepowiadają przyszłość (Pythia), a w panteonie bogów zajmują wybitne wprost stanowiska. Wszakże pojęcie sprawiedliwości ucieleśnione jest w bogini Themis, „*als unbewusste Erinnerung der Menschheit an eine lange vorhistorische Periode ihres Lebens, da das richtende Weib dem von ihm gegebenen Gesetze gemaes das Recht verkuendete*". Talio, zemsta krwi u starożytnych ludów obraca się zawsze w kole pokrewieństwa matki. Herodot (500 a. Chr.) wspomina o państewku w Małej Azji, Lykja, gdzie podczas swych podróży zastał jeszcze system rządów matrjarchalny. Jednakże są to tak rzadkie wyjątki, jak i współczesne w Chinach, Abisynji etc. Ze zwycięstwem patrjarchatu te prawa i obowiązki, które ongiś przypadały kobiecie, otrzymuje obecnie mężczyzna. Gdzie niegdzie granice się zacierają: u Arabów np. wnosi posag nie kobieta, lecz mężczyzna, jak w czasach matrjarchatu. Najdoskonalej przechowały się te zwyczaje na wyspie Rapa (Ocean Spokojny): *Die Insel ist zum groessten Teil von Frauen bewohnt. Maenner gelten dort als ein seltenes Tier. Alle Regierungsgeschaefte werden von Frauen versehen. Frauen gehen auf die Jagd, verrichten alle Arbeiten, fuehren sogar Krieg untereinander und ernaehren ihre Familie, waehrend die wenigen Maenner verwoehnt und gehaetschelt werden. Handarbeiten gelten als veraechtlich und koennen hoechstens (!) von Maennern ausgefuehrt werden. Beim Essen bekommt der Mann das beste Stueck, Maenner werden, wenn die Frauen sie ueber haben — an andere verkauft. Der Preis eines dicken Mannes ist sehr hoch (mehrere hundert Mark).* Drugą fazą rozwoju jest więc patrjarchat, jako negacja poprzedniego ustroju i to idąca zczasem bardzo daleko. Spółczesna androgineja ustępuje miejsca androkracji, kobieta coraz bardziej traci swe znaczenie, stając się objektem handlu, istotą mniej wartościową — niewolnicą. Prawo, pisane ręką mężczyzny, ogranicza ją, podporządkowując ją woli mężczyzny. Sądy, pochodzące z tej epoki, o kobiecie są ujemne: jest ona lekkomyślną (Miszlej), dom gdzie ona rej wodzi — ginie bez ratunku (Menander). Haremy, ginecea etc. wyciskają na niej nie wynikające z jej natury piętno bierności. Panem życia i śmierci jest — mężczyzna. Jak długo kobieta jest uległą, posłuszną — tak długo może rościć sobie tu i ówdzie pewne prawa (Domina Romana). Prawo XII Tablic stoi na stanowisku, że kobieta nie ma rozumu i że wobec tego nie wolno zostawić jej bez opieki mężczyzny. Próby jawnego oporu, których ślady przebijają się z komedyj Arystofanesa, zostają tłumione, czego dosadnym wyrazem jest opinja Platona i Arystotelesa. Oni, czołowe postacie zachodniego antyku, użyczają swej sankcji temu zapatrywaniu, że kobieta jest rzeczą, stąd prosta droga ich wiedzie do poglądu, iż odnośnie do kobiet powinien istnieć komunizm. Filipiki przeciw kobietom wygłasza i Cato. Ale ta ostra polemika wskazuje na to, że kobiety nie godzą się na wyznaczony im los. Nie mogąc iść drogą prostą, idą drogą krętą, przyczem ich *vis sexualis* (Kind nazywa to *Genitalmacht)* okazuje się potężną bronią w ich ręku. Typowym jej wzorem jest władza Kleopatry nad Antonjuszem, ale — nie jedynym przykładem wpływu messalin. Około I. w. przed Chr. spotykamy instytucję *conventus feminarum*, senat kobiet, którego celem jest wywalczenie praw dla kobiet. Za czasów Heljogabala urzęduje on narówni z właściwym senatem *populi Romani*. O tej instytucji wspomina jeszcze ojciec kościoła Hieronimus. Te objawy wskazują na poprawę stosunków na korzyść kobiet: mnożą się rozwody, życie rodzinne rozluźnia się, kobieta pojawia się na forum, bierze udział w zapasach, występuje sama nago, podczas gdy poprzednio nie wolno jej było patrzeć nawet na nagich zapaśników. Zczasem stają się konsulami, wodzami (Agripina, żona Klaudjusza a matka Nerona!). Rozpoczynają się rządy żon cezarów: Julja Domna, Julja Maesa etc. W miarę rozszerzania się chrześcijaństwa następuje znowu upadek kobiet. Uchodzi ona za istotę grzeszną, za wieczną pokusę, której należy unikać. Całe średniowiecze mimo swego kultu wobec pięknych dam jest owiane tą ideą, czego jaskrawym dowodem są niezliczone procesy czarownic. Kobieta uważana jest za prawą rękę szatana. Dr Kind wyjaśnia na szeregu przykładów, pamiętników, obrazów etc., że wchodziły tu w grę czynniki seksualne, chęć znęcania się nad kobietą. Stosunkowo więcej kar cielesnych (chłostę) wymierzano kobietom niż mężczyznom (sadyzm). Do XVII wieku podlegały kobiety chłoście i to za najbłahsze przewinienie. Stąd przysłowie:

Soll das Weib der Hund gedeihn
So muessen sie tuechtig gepruegelt sein.

(Dok. n.) DR LEON GUTMAN

KWESTJA STANOWISK

...Bo do czegóż ona dojść może? Kobieta? Nie dadzą jej przecież żadnego stanowiska, będzie całe życie klepała biedę, a wogóle nawet byle posadę znaleźć trudno...

Gdy młoda osoba po ukończeniu studjów, a często w ciągu nich, nasłucha się od miłego otoczenia „doświadczonych" i „życzliwych" osób takich przepowiedni, nic dziwnego, że się buntuje.

Sił jej nie brak, chęci i zapału byłoby aż nadto, a przytem jest i ambicja... Chodzi nietylko o to, by znaleźć zarobek, zapewniający egzystencję, nietylko o to, by móc pracować w obranym kierunku — chodzi także o stanowisko.

Jest jednak wielką wadą naszego wychowania, że młodzież kształcącą się — o ile jej do tego nie zmuszają okoliczności lub temperament osobisty — przygotowuje się tylko w kierunku zdobywania wiedzy formalnej, pomija się zaś wychowanie ku zdobywaniu sobie własnego miejsca w życiu praktycznem.

Dziewczęta — łatwiej niż chłopcy dają się zapędzić do ograniczonego koła kształcenia się, nie wychylając noska w życie, zwłaszcza w te jego dziedziny, które są trudnościami i „prozą" najeżone.

A potem brak tego przygotowania daje się odczuć boleśnie w momencie, gdy trzeba zdobywać pracę i stanowisko.

Bo jak? Czy stosunkami rodziców i wpływowych znajomych? Czy może kokieterją wiośnianej młodości?

Bez tego można i należy się obejść — ale nie można się obejść bez osobistej odwagi, wytrwałości, bez kompetencji w pracy, poczucia odpowiedzialności i — z drugiej strony — poczucia wartości własnej — ani za mało, ani za dużo.

Zaczynać jest zazwyczaj trudno. Najlepiej przecie dają sobie radę kobiety, które wiedzą, „że nikt za niemi nie stoi".

Przedewszystkiem wiedzą czego chcą. Liczą się z możliwościami osiągnięcia czegoś odrazu, lub też stopniowo. Umieją rozwinąć przytem cierpliwość, wytrwałość, dyplomację i w razie potrzeby stanowczość.

Czy to ma oznaczać, że te kobiety, które dochodzą do obranych zgóry celów... „mają mocne łokcie"?

Nic podobnego. Tylko to, że wykluczyły ze swego repertuaru lenistwo, indolencję, dąsanie się na los i ludzi. Że nie dają nad sobą przewagi kaprysom, że nie rozpraszają swych sił i uczuć na marne drobiazgi, że umieją skupić wzrok na jednym celu, znają do gruntu swój zawód i potrafią wykazać się rezultatami pracy.

Przebiegnijmy pokrótce różne dziedziny działalności, a we wszystkich znajdziemy kobiety na stanowiskach. To dowód, że stanowiska te są osiągalne i że te, które przychodzą, jako następczynie, mają już utorowane drogi w opinji publicznej.

W polityce? W życiu partyjnem niewiele wybitnych działaczek. Nie najgorszy w porównaniu z wielu krajami stan — rosnący naogół — przedstawicielek w parlamencie. W pierwszym sejmie i senacie było ich 8, w drugim 13, w trzecim tylko 11, lecz w obecnym 18 senatorek i posłanek, nie licząc sejmu lokalnego, śląskiego. Są przewodniczącemi komisyj, wnoszą ustawy, referują, przemawiają, niektóre z dużym talentem oratorskim.

Natomiast w dyplomacji zupełnie głucho dotychczas o kobietach.

W administracji państwowej ze stanowiskami kierowniczemi jest słabo. Raz tylko była wysunięta kandydatura kobiety na ministra pracy i opieki społecznej — do zrealizowania jej nie przyszło. Dyrektora departamentu w spódnicy nie było jeszcze. Naczelniczka wydziału w ministerstwie — dwa stanowiska, kilka radczyń i zastępczyń naczelnika wydziału. Referentek niewiadomo czy uzbiera się z 50 na całą Polskę na wszystkie urzędy centralne i wojewódzkie.

W sądownictwie dopiero w ostatnich czasach zjawiły się kobiety: jest ich cztery na stanowiskach sędziów. Będzie z tem prawdopodobnie, jak i ze stanowiskami w administracji: już oddawna daje się odczuwać ogromny brak kandydatów na sędziów; to samo zaczyna dziać się w administracji: w zgłoszeniach na urzędników (w przyszłości starostów) jest znacznie mniej mężczyzn. Wskutek tego pewna liczba kobiet z wyższemi studjami weszła już do administracji i niewiele wody upłynie, a możemy mieć kobietę-starostę.

W radach miejskich kobiet stale przybywa. W Warszawie liczba pań radnych stanowi 10% ogółu. Niektóre miasta mają nawet stosunek bardziej dla kobiecego żywiołu korzystny. Były już i są przewodniczące rady miejskiej, ławniczki, wybitne członkinie komisyj. W niedużem miasteczku Kielecczyzny rządzi kobieta - burmistrz.

Kierownicze stanowiska w magistratach osiągają kobiety w dziedzinach oświaty i opieki społecznej, jako kierowniczki sekcyj, inspektorki opieki społecznej i t. p.

W szpitalnictwie i sanitarjacie miast pracuje dużo lekarek na stanowiskach odpowiedzialnych: kierowniczek szpitali, ordynarjuszek. Lekarzem naczelnym miejskich schronisk dla bezdomnych w Warszawie jest kobieta.

Przemysł i handel dają kobietom stanowiska naczelne zazwyczaj łącznie z samodzielnem przedsiębiorstwem. Ileż to mamy kierowniczek własnych warsztatów przemysłowych i artystycznych, większych i mniejszych, własnych sklepów, nawet fabryk! Dzielnością i przedsiębiorczością zdobywają sobie uznanie i dobre zyski materjalne. Odpowiednio wykształcone kobiety weszły też do przedsiębiorstw spółdzielczych, głównie budowlanych i mieszkaniowych, jako kierowniczki, architektki, doradczynie techniczne.

Większe gospodarstwa rolne i hodowlane, któremi kieruje kobieta, nie należą bynajmniej do rzadkości, a coraz więcej jest takich, w których na czele stoi fachowo wykształcona właścicielka, dzierżawczyni, kierowniczka działu hodowli lub produkcji, ogrodnictwa lub przetwórstwa.

Bankowość i finanse znają wybitne prokurentki, nawet dyrektorki, w tej chwili jednak pole to mocno się ścieśniło, przynajmniej na pewien czas. W biurowości nie brak kierowniczek biur i działów samodzielnych.

W świecie pracy intelektualnej samodzielność jest często stanowiskiem samem w sobie. Tak jest z lekarkami, adwokatkami, literatkami, artystkami, dziennikarkami. Nie są nowością redaktorki naczelne pism i dzienników (prowincjonalnych), znane są kierowniczki aptek, zakładów dentystycznych, laboratorjów.

W nauczycielstwie i wychowaniu dominujące liczebnie stanowisko kobiet nie zawsze idzie równolegle z kierownictwem. W szkołach publicznych jest stosunkowo mało dyrektorek i wizytatorek, zarówno w powszechnych, jak średnich. Dość liczne są zaś dyrektorki w zakładach wychowawczych i opieki społecznej.

W uniwersytetach naszych jest 5 profesorek mianowanych, kilkanaście docentek (około 200 asystentek), nie licząc uczelni wyższych prywatnych, oraz zagranicznych, na których kilka znakomitych Polek zdobyło laury uczonych profesorek.

Nie są to rezultaty olśniewające, ale mogą być zachętą do tem większego rozpędu młodych sił w kierunku zajmowania stanowisk kierowniczych, które jednak wymagają wielkiej pracowitości i odwagi: wzięcia na siebie doniosłej i obowiązującej odpowiedzialności. A przed tem cofnęło się niejedno zalęknione serce kobiece...

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

ROZMOWA ZE STEFANEM GRABIŃSKIM

STEFAN GRABIŃSKI, tegoroczny laureat nagrody literackiej miasta Lwowa, jest człowiekiem niesłychanie skupionym, żyjącym własnem, wewnętrznem życiem. Właściwości natury kontemplacyjnej, cichej, nieprawdopodobnie skromnej, w sobie zamkniętej, wrażliwej i subtelnej, pogłębiły się jeszcze i spotęgowały wskutek długotrwałej choroby, która niejako odgraniczyła niezwykłego artystę pióra od zgiełku dnia powszedniego. Dlatego — chociaż nazwanie Stefana Grabińskiego odludkiem uczyniłoby mu prawdziwą krzywdę, chociaż długo niedoceniany poeta wybiega z sercem tak ufnem, dobrem i pogodnem na spotkanie ludziom — trzeba jednakże przemóc pewną nieśmiałość, pewną obawę, by wzorem natarczywych dziennikarzy wtargnąć do jego samotni w Brzuchowicach i przerwać mu rozmyślania stekiem pytań, mających na celu skonstruowanie wywiadu. Charakterystyczna skromność, z jaką znakomity autor „Demona ruchu" przyjmuje każdy objaw zainteresowania się świata jego osobą, nasuwa mi przedewszystkiem pytanie:

— Jak przyjął pan wiadomość o nagrodzie?

— Gdy przyszedł pierwszy telegram gratulacyjny, — odpowiedział mi Stefan Grabiński — doznałem głębokiego wzruszenia. Drżącą ręką, bez słowa oddałem go do przeczytania mojej najlepszej, najdroższej przyjaciółce — mojej matce... Potem przyszła kolej na uczucie szczęścia i dumy. Bo jakżeż tu nie być dumnym? Przypadł mi w udziale zaszczyt wielki, wyjątkowy, uznanie tem droższe mi, tem cenniejsze, że ze strony mego ukochanego miasta Lwowa, niezłomnej strażnicy kultury i ducha polskiego na rubieżach wschodnich, gniazda Orląt, wiernego dziecięcia kresowego Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jakżeż tu nie być dumnym i szczęśliwym?...

Zkolei pragnę dowiedzieć się czegoś o źródłach twórczości Grabińskiego, o metodzie jego pracy, tych najciekawszych rzeczach, jakie może artysta sam o sobie powiedzieć.



STEFAN GRABIŃSKI

— Czy postacie i zdarzenia w pańskich powieściach — zapytuję — są wytworami fantazji, czy też mają jakiś pierwowzór?

— Tylko kilka postaci mych utworów wziąłem z bezpośredniej rzeczywistości, że się tak wyrażę, żywcem z życia. Tu należą: przeorysza z „Klasztoru i morza" tylko ze zmienionem nazwiskiem, Wzorek, latarnik z Rozewia (tamże), Wrześmian z noweli „Dziedzina" (z książki „Szalony pątnik"), i z „Cienia Bafometa", będąc y mym literackim sobowtórem, kobiece postacie: Donja Inez de Torre Orpega z „L'Appassionaty" („Namiętność") i Łunińska z „Przypadku" (z tegoż samego cyklu), obie naturalnie ze zmienionemi imionami i nazwiskami, kobieta ze snu p. t. „Zmora", również z cyklu „Namiętność", wreszcie postać obłąkanej Giny z „L'Appassionaty", przeniesiona żywcem z bruku lwowskiego na lagunę wenecką. Oto i wszystko. Wszystkie inne postacie mych utworów są zmyślone, jakkolwiek powstały z obserwacji rozmaitych typów i charakterów ludzkich. Niektóre z mych kreacyj są stopem charakterowym kilku postaci, wśród których niepoślednie miejsce zajmuję ja sam. Np. Pomian z „Cienia Bafometa" jest takim tworem mej wyobraźni, dźwigającym w dodatku brzemię ponurego czynu, którego cień padł złowieszczym zasięgiem na początki naszego odrodzonego życia politycznego. Żaden z krytyków prócz może dr. Z. Żygulskiego nie zwrócił uwagi na ten ważny szczegół tej naogół źle zrozumianej i stąd zlekceważonej powieści.

Bohaterowie innych znów mych utworów są nietyle charakterami, ile raczej wyrazicielami mych myśli i mego światopoglądu; inni znów, przedstawiający się czytelnikom jako ludzie anormalni, obłąkani lub co najmniej dziwacy, oryginali czy też obdarzeni wyjątkowemi właściwościami psychofizycznemi, wyrażają sobą nietylko moje zapatrywania na życie i jego stosunek do zaświatów, moją wiarę w istnienie sił metapsychicznych, nie ulegających rozkładowi po śmierci fizycznej danego osobnika — ale też są żyjącemi dowodami mojej tezy, że większość t. zw. obłąkanych — to albo ludzie genjalni, u których nastąpiło załamanie się fizyczne pod wpływem „prężności" zbyt wielkiego nasilenia myśli, albo uczuciowcy, wysadzeni z siodła zdrowej, normalnej rzeczywistości wskutek nasilenia uczuciowego. Mózg, nerwy, wogóle cały wyższy aparat psychiczny tych niedoszłych genjuszy myśli lub serca uległ zepsuciu pod wpływem zbyt silnego naporu ich ducha; innemi słowy, ich ciało było za kruchem narzędziem dla ich potężnego ducha.

— A zdarzenia, stanowiące treść pańskich utworów?

— Podobnie, jak z postaciami, ma się rzecz i ze zdarzeniami, czyli t. zw. fabułą mych utworów. Niemal wszystkie od A do Z są wytworem mej wyobraźni. I rzecz charakterystyczna, że właśnie te nieliczne utwory (nowele), które zawdzięczają swe powstanie poczęści rzeczywistości konkretnej i są artystyczną przeróbką zdarzenia prawdziwego lub czyjegoś opowiadania, należą do najsłabszych, jakie napisałem („Znak", „Zmora", „Ksenia", „Muzeum dusz czyśćcowych" (z „Księgi ognia"). Wogóle czuję się w materjale własnym, w tworzywie mojem osobistem, w fabule i pomysłach, będących moją wyłączną własnością, daleko lepiej i swobodniej, niż w materjale poddanym mi wprost przez bezpośrednią rzeczywistość lub przez kogoś znajomego. Pracując w materjale własnym, poddanym mi przez moją fantazję, obracam się jak u siebie w domu; przerabiając zaś artystycznie rzeczywiste zdarzenia, czuję się „nieswojo", jak podróżny w *chambre garnie* hotelowej. Mam wrażenie, że teraz pod tym względem dokonuje się we mnie zasadniczy zwrot i że coraz silniej lgnę do rzeczywistości bezpośredniej. Objaw znamienny ze względu na mą długotrwałą chorobę płuc.

— Czy pierwiastek mistyczny, tajemniczy związek spraw życiowych wydaje się panu być udziałem każdego człowieka, czy też pewnych, specjalnie usposobionych jednostek?

— Tu z natury rzeczy musimy oddzielić pojęcie „stanu mistycznego" od „tajemniczych związków spraw życiowych". A propos pierwszego sądzę że jest on absolutnie udziałem tylko natur wyjątkowych, o specjalnym ustroju psychofizycznym. Ja np. nie mam najmniejszych w tym kierunku uzdolnień. Stan mistycznej ekstazy jest mi zupełnie obcy.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa „tajemniczych związków życiowych". Sądzę, że napotykamy je niemal wszyscy co krok, lecz nie wszyscy umiemy czy chcemy zwrócić na nie uwagę. Należą tu tajemnicze „przypadki", t. zw. zbiegi okoliczności, dziwne spotkania, wyczuwanie się wzajemne na odległość dusz tęskniących ku sobie, zjawiska niewytłumaczonej, nagłej sympatji lub antypatji, zdarzenia ostrzegawcze, nemezis życiowa, t. zw. „palec Boży" i „dopust Boży", nagłe nawrócenia, symbolizm życiowych zdarzeń itd. — wogóle dziedzina tajemnicza, niezbadana, z której prócz nieznanych sił metapsychicznych wychyla się potężne oblicze Boga.

— Czy zagadnienia irracjonalne nie kłócą się w panu nigdy z pierwiastkiem realistycznym?

— Zagadnienia, nazwane przez panią irracjonalnemi, ja określam terminem rzeczywistości wyższego rzędu lub metarzeczywistości; nie kłócą się one u mnie n i g d y z pierwiastkiem realistycznym. Bo i nie może być inaczej. Cała moja twórczość jest przedłużeniem rzeczywistości ziemskiej, fizycznej, normalnej poza rubieże świata w nieskończoność. Cała moja twórczość, jak to cudownie powiedział Wilam Horzyca w swem studjum o mojem „Na wzgórzu róż" (pismo warszawskie „Pro Arte", 1919, zeszyt 3) jest „marzeniem o rzeczywistości". Usiłowania moje — pisze Horzyca — „zmierzają do tego, aby świat współczesny ukazać jako źródło cudu, rzeczywistość uchwycić w tej tajemniczej chwili, gdy niejako wychyla się ona poza siebie i odsłania swe drugie, nieznane, nigdy w pewność nie zastygłe oblicze".

— Które z swych dzieł uważa pan za najdojszalsze?

— Nowele „Problemat Czelawy" i „Dziedzina" z cyklu „Szalony pątnik", pierwszą ze względu na poruszone w niej zagadnienie stosunku jaźni empirycznej do transcendentalnej, drugą ze względu na problem stosunku artysty-twórcy do tworów jego wyobraźni; następnie zaliczam tu cykl „Demon ruchu" en bloc, rozprowadzający na symbolicznej platformie kolei — ruchu — życia szereg najrozmaitszych zagadnień z dziedziny filozofji („Błędny pociąg", „Dziwna stacja", „Ślepy tor", „Głucha przestrzeń", „Ultima Thule"), psychologji, psychjatrji i psychopatologji oraz metapsychiki; ponadto cykl ten, przesiąknięty liryzmem, uważam pod względem artystycznego wykończenia też za jedno z najlepszych mych dzieł. Pozatem nowele: „Spojrzenie" z „Niesamowitej opowieści", „L'Appassionata" i „Przypadek" z książki p. t. „Namiętność", niewydane dotychczas nowele: „Czad" (może najsilniej napisana), „Czarna Wólka" i „Rodowód czynu". Również uważam za dojrzały owoc mej twórczości niedocenioną przez krytykę powieść „Cień Bafometa" i dramaty „Willa nad morzem" oraz „Larwy" (posłane przed trzema miesiącami do dyrekcji lwowskiego teatru „Rozmaitości" na ręce p. Leona Schillera i dotychczas czekające naprożno na odpowiedź).

— A jakie dzieła literatury polskiej lub obcej wywarły na panu najgłębsze wrażenie?

— Z utworów rodzimych „Farys", „Konrad Wallenrod" i „Pan Tadeusz" Mickiewicza, „Ojciec zadżumionych", „Horsztyński" i I. Rapsod „Króla Ducha" Słowackiego — Norwid — „Trylogja" i „Quo vadis" Sienkiewicza, „Lalka" Prusa, „Chłopi" Reymonta, „Klątwa", „Sędziowie" i „Kazimierz Wielki" Wyspiańskiego — „De profundis" i „Złote runo" Przybyszewskiego — „Karykatury" i „W sieci" Kisielewskiego, „Bazylissa Teofanu" T. Micińskiego — „Moja pieśń wieczorna" Kasprowicza, „Próchno" Berenta, „Pałuba" K. Irzykowskiego

MICHALINA GREKOWICZ

(Dok. art. na str. 313)

POETKA WSPÓŁCZESNOŚCI

O OSTATNIM TOMIKU poezyj* autorki „Uwrocia" i świetnej tłumaczki nowej liryki francuskiej piszę ze serdecznem wzruszeniem. Tak jak każe pisać o sobie rzecz naprawdę piękna i bez artystycznego kłamstwa. Bez tego nieznośnego, apriorycznego programowego silenia się na ostatni krzyk mody, na „współczesność" głupkowatego snobizmu, co z większości utworów współczesnej produkcji lirycznej czyni bezduszne afisze haseł czy haślątek przemijającego dnia. Współczesność A. L. Czernowej idzie sama ze siebie a więc z nieodpartej i niewymedytowanej sugestji rytmu, kształtów i treści narastającego życia. Jest ona i w samej formie lirycznego wiersza, wyzwolonego z gorsetu zaokrąglonych syntaktycznie zdań, z monotonnej, za wszelkiemi przegubami myśli nie postępującej rytmiki, jest w dyskretnem posługiwaniu się asonansem na stosownem miejscu, w bardzo zręcznem używaniu rymów wewnętrznych, w niecofaniu się przed dosadnością nigdy przecie ordynarnego wyrazu, w nieoczekiwanych skojarzeniach myśli w najlepszym smaku wartościowego futuryzmu, w impresjonizmie linji, rysunku i barwy poetyckiego obrazowania. Jest ta współczesność i w treści, w uroku jaki na poetkę wywiera miasto i jego piękno, groteskowe często, bolesne nieraz i tragiczne, to znów pogodne i roześmiane, w niepokoju i lęku falującej burzami epoki, w poczuciu wreszcie sportowej, fizycznej tężyzny. Ale jest w „Testamencie Adama" rzecz najważniejsza: — poezja. Prześliczna, świeża, niezblazowana, wdzięczna bez kokieterji, zarumieniona szlachetnym entuzjazmem podniosłego życia. Tego się nie udowodni wykrojonym cytatem, tem mniej streszczaniem utworów. Trzeba posłuchać całości. Tak jak ja słuchałem „Pieśni o Czekanie", najlepszego wiersza „Testamentu", kiedy go autorka deklamowała sama na jednym z wieczorów lwowskich. Wrażenie było niezwykłe. Zobaczyłem przed sobą poetkę prawdziwą. Nie dlatego prawdziwą, że gdzieś tam wprowadziła coś „nowego" zaskakującego, — tylko, że potrafiła wzruszyć, zastanowić słuchacza dostatecznie przejedzonego wirtuozerją często bezkrwistą współczesnej twórczości lirycznej.



ANNA LUDWIKA CZERNY

Tomik A. L. Czernowej nie jest zbiorem luźnych w różnych czasach pisanych poezyj, — jest całością artystyczną, zbudowaną na 12 godzinach gnostycznego Testamentu Adama, z których każda jest czasem pewnego określonego stawania się w świecie, począwszy od północy, kiedy to duchy idą „z rajskiego ogroda" po ścieżkach ludzkich myśli do serc naszych, by uderzyły tęsknotą o wrota niebieskie („Północ"), poprzez godzinę drugą w nocy, godzinę Lęku, pustki otchłannej mórz kosmicznych, pożerającej życie rozpędzone śmigłem pracowitego dnia („S. O. S."), godzinę świtu, kiedy się rodzi człowiek, „przechodzień ulotnej chwili kruchej", ale przez którego mówi wszystko, co nieme, widzi wszystko, co niewidome, wolność, nadzieja, radość i tęsknota przyrody — aż do południa, godziny bolesnego znużenia („Krzyk dróg"). A ta cała starowieczna gnostyka oryginalnie przefiltrowana, przepuszczona przez duszę dnia dzisiejszego. Jesteśmy i na placu du Tertre na Montmartrze, gdzie brutalny gwar paryskich girlsów, apaszów i innych ludzkich kukiełek wybiega z nocnych kabaretów i teatrzyków, uderzając mistycznie o dziwną, cichutką plebanję (bardzo ciekawy „Proboszcz z Montmartru") — na targowisku jarzyn na Convention („Moje gospodarstwo w Paryżu", interesujący wiersz, zbudowany w ten sposób, że w jego organizm wpleciony jest misternie, całemi zwrotkami utwór autorki, pisany w innym czasie a służący pierwszemu za rodzaj rezonansa uczuciowego i wyobrażeniowego) — defilują przed nami auta, ajenci policyjni, portowe dźwigi, parowozy rozpędzone po szynach. Rozmaitość nastrojów wielka. Obok mistycznej groteski „Proboszcza z Montmartru", zielono-słonecznej porannej pogody „Mego gospodarstwa" potężne akordy religijnego hymnu, kończącego wiersz „S. O. S.", najmocniejszy obok „Pieśni o Czekanie" utwór „Testamentu". Na otchłannem tle nocnem drugiej godziny mistycznej wizja samolotu *Dixmudy* ginącego w oceanie bez śladu. „Gdzie zginął, gdzie przepadł, gdzie kona? Poszły szukać siostry Faetona. Topolami ziemieby porosły, gdyby wszystkie biegły w żalu siostry. W najtajniejszej żałoby głębiny poszły szukać ptaka łzy-bursztyny". Z czego urasta nowa przepiękna wizja upiornego lotnika, latającego Holendra śmierci, „który może lata bezsterny, bezgwiezdny, naokoło, naokoło świata, naokoło bezmiaru, lub od świata precz poszedł w otchłanie, w chaos, w pierwotność pożaru, na wieczyste, ogniste, upiorne błąkanie, aż wreszcie jak kometa w dorocznych obejściach, na nieszczęście wyjąca na tych samych miejscach, kiedyś znowu na nieba widome przyleci ze szkieletem zetlałym"... I w tem miejscu właśnie odzywa się ów potężny hymn błagalny, zwrócony do Boga, żeby spojrzał litośnie na ginące i wziął w swoje ogrojce dusze, ginące w pustce zapomnienia. Przecież najwięcej uroku ma dla mnie owa, już wyżej wspomniana „Pieśń o Czekanie", utwór wyrosły z przeżyć poetki podczas wycieczek wysokogórskich w Alpach francuskich, pieśń młodzieńczej tężyzny, torującej sobie drogę na turnie śnieżne poprzez lodowe schody, kute stalą dzierżoną w ręce mocnej i śmiałej, pieśń wiecznie młodego entuzjazmu, który wysiłkiem ducha drze się przez piargi i skały Niewiedzy ku „białej nieskończoności", w błękitne szlaki Bóstwa. Bo w pysznym tym wierszu górski czekan o jaworowem stylisku urasta co chwilę do symbolu walczącego o swą prawdę ducha, że zaś wiersz jest dziełem kobiety, całość jest znakomitym wyrazem nowoczesnej zwycięskiej kobiety, radosnej w poczuciu swej tężyzny fizycznej i siły intelektualnej. Polskiej literaturze przybyło dzieło dużej wartości. — Zawodowy krytyk napisałby o tem uczeniej i bardziej fachowo. Jestem tylko artystą, któremu dzieło drugiego artysty spodobało się bardzo i dlatego pisze. Może to będzie autorce przyjemniej.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

* Anna Ludwika Czerny. *Testament Adama.* Warszawa 1931. Nakł. F. Hoesicka.

AUTOR ROBINSONA, DANIEL DEFOE

W DWUSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

„ROBINSON CRUSOE", w rękach ośmiu pokoleń, które brały zeń pierwsze wzruszenia dziwnego świata przygód, stał się czemś w rodzaju bajki, powstałej w niewiadomy sposób i w niewiadomym czasie. Nazwisko autora trzyma się wprawdzie karty tytułowej, nikt nie myśli o tem żeby je pominąć, ale dla wielu nie jest ono bardziej jasne niż np. nazwisko Homera na tytule Iljady lub Odysei. Wyobrażam sobie, że u wielu chłopców, którzy przeżyli nad Robinsonem wspaniałe momenty marzeń, snuje się dookoła osoby Daniela Defoe coś nakształt mitu, zbudowanego z własnych domysłów, najpewniej uważają go poprostu za samego Robinsona, człowieka morza i wysp i tysiąca przygód.

Niestety, Daniel Defoe nie odpowiada tak ustawionej wyobraźni, był on inny, zupełnie inny, ale nie można zaprzeczyć, że uczynił w swem życiu niejedno, aby obudzić naszą ciekawość poza kartami swego nieśmiertelnego dzieła.

Daniel Defoe urodził się w r. 1660 w Londynie, ojciec był handlarzem świec, pochodził z rodziny flamandzkiej, matka była szlachcianką z angielskiego ziemiaństwa. Małego Daniela przeznaczono do stanu duchownego. Ale zostać pastorem, żyć w jakichś skromnych i cichych okolicznościach — to było niemożliwe dla chłopca, który marzył o bogactwie i władzy. Po długich zatargach odesłano go do handlarza win, który zeń uczynił komiwojażera. Defoe przez dwa lata jeździł w interesach firmy po wszelkich miastach i portach Europy, zdobywając w obcowaniu z ludźmi wielki materjał życiowy. W 1683 r. założył własny sklep w Londynie, a w następnym roku ożenił się z Marją Tuffley, która mu urodziła ośmioro dzieci.

Zaczyna życie bardzo czynne i pełne ambicyj. Zajmuje się literaturą, pisze wiersze, rozprawia, dyskutuje w gronie wielbicieli, oczywiście kupców. Przypadek stawia go na drodze księcia Monmouth, którego spotyka i poznaje na wyścigach. Jest to pretendent do tronu, który czeka tylko chwili odpowiedniej, by podnieść rokosz. Taka chwila nadchodzi, Defoe znajduje się w szeregach powstańczych. Książę zostaje pobity, Defoe ukrywa się w niewiadomem miejscu. Następują czasy Jakóba II, który zamierzał nawrócić Anglję na katolicyzm. Defoe, opuściwszy wreszcie swą kryjówkę, rzuca się do walki religijnej. Jest we wszelkich klubach dysydenckich, przemawia na zebraniach, agituje. Gdy Jakób II idzie na wygnanie, Defoe ma wrażenie, że odbywa się jego własny triumf. Ale wśród swoich namiętności zaniedbał interesów, stał się bankrutem. Znów ucieka, ukrywa się przed wierzycielami i więzieniem, najpierw w Londynie, później w Bristolu.

Zapobiegliwość żony i przyjaciół ocala jego majątek, przynajmniej na tyle, że może powrócić. U władzy jest partja, której służył, Defoe ma jak najlepsze nadzieje. Ogłasza pierwszą swą książkę: „Zarys kilku projektów". Plany reform jakie w niej przedstawia zwracają nań uwagę. Zostaje członkiem komisji do poboru podatku od szkła, wchodzi w stosunki z dworem, król Wilhelm słucha jego rad. Zakłada fabrykę cegieł i dachówek. Jest to najświetniejszy okres jego życia. Zapomina o swym purytanizmie, ma nawet kochankę, która jest handlarką ostryg, utrzymuje kilka apartamentów w różnych stronach Londynu.

Nagła śmierć króla Wilhelma położyła kres tej karjerze. Królowa Anna otacza się innymi ludźmi, Defoe spada w niełaskę, szczerze mówiąc w zapomnienie, które sam narusza ku własnej niedoli. Napisał kilka pamfletów przeciw ludziom ze stronnictwa królowej, wydano rozkaz aresztowania, Defoe po raz trzeci ucieka, przejęty strachem, że go stawią pod pręgierz. Popełnia jednak fatalną nieostrożność: pisze list błagalny do kanclerza. Za tym listem idą inne ślady i wreszcie dostaje się w ręce policji. Wtedy ofiaruje się ogłosić rewelacje o działalności swojej partji. Chciał tylko zyskać na czasie, ale zyskał o wiele więcej. Partja, którą miał na myśli, dawna partja króla Wilhelma już się pogodziła z nowym stanem rzeczy, wielu z jej członków zajmowało wysokie stanowiska i wśród nich powstał popłoch na myśl, że ktoś nagle odsłoni ich przeszłość. Postarano się wydobyć desperata z więzienia. Przebywał w niem tylko trzy dni, ale te dni policzono mu za triumf. Przyjęto go jak męczennika, owacjami i kwiatami.

Daniel Defoe zwrócił na siebie uwagę Roberta Harleya, prezydenta Izby Gmin, który spostrzegł, że ten świetny pamflecista może mu oddać wielkie przysługi. W tych czasach dobre pióro, zdolne do ciętych broszurek i ulotek, miało podobne znaczenie, jak dzisiaj dobrze postawiony, popularny dziennik. Zaczęła się zdumiewająca egzystencja, wśród niezliczonych intryg, podstępów i krętactw politycznych. Daniel Defoe uwija się wśród dziejów kilku lat ówczesnej historji parlamentarnej z nieopisaną ruchliwością. Jest dziennikarzem, pamflecistą, organizuje biuro wywiadowcze, odbywa niezliczone podróże na koszt państwa, dla wybadania opinji publicznej we wszystkich sprawach, które przynosi program rządu. Ma ogromne wpływy, jest czemś w rodzaju ministra policji, mimo to dostaje się do więzienia, znów za jakiś pamflet, zresztą na krótko.

Z wstąpieniem na tron Jerzego I wszystko się zmienia. Dotychczas Defoe, podając się za whiga, śledził na rzecz rządu torysów partję whigów, teraz miał znów śledzić partję torysów na rzecz rządu whigów. Jakiś czas wszystko idzie dobrze, ale coraz bardziej szerzy się dokoła niego nieufność aż nadto uzasadniona. Defoe nabiera goryczy i powoli zaczyna nawracać do swego purytanizmu. Pisze książkę o zasadach moralności i wychowania p. t. „Nauczyciel rodziny, która ma wielkie powodzenie".

Daniel Defoe był splotem dziwnych sprzeczności. Pomimo odwagi podlegał prawdziwym atakom słabości i tchórzostwa, opadały go trwogi o przyszłość, przeczucia druzgocących nieszczęść i pod ich wpływem był zdolny do wszystkiego. Rozsądek nie zabezpieczał go przed najbardziej awanturniczemi przedsięwzięciami. Był próżny, a jednocześnie zdolny do głębokich poniżeń. Był purytaninem, wyznawcą surowego chrześcijaństwa, a nie był ani dobrym mężem, ani dobrym ojcem, ani nawet tem co się zwykło nazywać porządnym człowiekiem. Część życia wypełniły mu nieustanne zdrady przekonań i partyj, a jednocześnie umiał być niezachwianie wiernym kilku przyjaciołom. Jedna chyba rzecz panuje nad tym chaosem: jego zdumiewająca energja, żywotność, która go nigdy nie opuszcza, która pozwala mu wyjść cało z najcięższych opresyj, jest to ów rys cierpliwości i wytrwałości, który możnaby nazwać rysem robinsonowskim.

W tem wszystkiem zastaje go starość. Nadchodzi rok 1719, Defoe ma prawie sześćdziesiątkę. Niedawno przeszedł atak apopleksji, cierpi na podagrę i nerki. Jest zgorzkniały, rozczarowany, potrzebuje pieniędzy, coraz więcej pieniędzy, żeby połatać swoje interesy, wyposażyć dorosłe córki. Wtedy pisze swe najpiękniejsze książki: „Żywot i przygody korsarza Singletona", „Moll Flanders", „Pułkownik Jack", „Roxana", wreszcie tę, którą jedynie ze wszystkich zatrzymały późniejsze wieki, swe arcydzieło: „Robinsona Crusoe". Oto co nie może przyjść na myśl przy czytaniu tej książki: że pisał ją zła-

many starzec w ciężkich dniach swego życia! On zaś pisał ją, jak wszystkie swe powieści, bez troski o piękno, bez myśli o stworzeniu dzieła sztuki, poprostu dla pieniędzy i tak żeby się jak najlepiej podobało publiczności. Nigdyby nie uwierzył, że podobna rzecz przyniesie mu sławę, że uczyni go nieśmiertelnym.

Nagle staje się coś, co wygląda tak, jakby do Daniela Defoe przylgnęły jakieś strzępy życia jego burzliwych bohaterów. W r. 1730 starzec siedmdziesięcioletni ucieka. Ucieka z domu w niewiadomym kierunku. Niepodobna odszukać żadnej przyczyny, nigdzie nie znajduje się bodaj cień podejrzenia, że groziło mu jakiekolwiek niebezpieczeństwo, że jakiś wierzyciel nastawał na jego spokój, że policja powzięła do niego nieufność. Te sprawy już dawno minęły. Może więc była to jakaś halucynacja, jakiś poryw tajemniczy, taki sam który wypędził Tołstoja z Jasnej Polany i dał mu umrzeć w budynku stacyjnym? Może podobne porywy budzą się u niektórych starców, jakby uciekali przed śmiercią, jakby wierzyli, że gdzieś przed nią zdołają się schować? Niepodobna się oprzeć wrażeniu, że autor Robinsona w swej wyobraźni mógł zapragnąć jakiegoś odludzia, czegoś nakształt wyspy zagubionej, o której możeby i los zapomniał.

W następnym roku, w 1731, wraca nagle ze swej nieznanej kryjówki i znów osiedla się w Londynie. Słowo: osiedla się jest zbyt okazałe dla tego krótkiego i lękliwego postoju. Nie wraca przecież do domu. Zaszywa się w najbardziej niedostępnej dzielnicy Londynu, w biednej dzielnicy, pełnej uliczek, zaułków, zamkniętych parkanami, uchodzących w błotniste podwórza. — W tych stronach był dzieckiem i tu przyszedł umierać. Umarł 26 kwietnia dwa wieki temu.

Oto jaki był człowiek, który dał ludzkości jedną z najpotrzebniejszych książek, bo cóż zasługuje rychlej na miano potrzebnej książki niż ta, co z takim urokiem towarzyszy najpiękniejszym latom? Gdyby znając zawczasu jego charakter, jego życie, jego poglądy, bylibyśmy w tem położeniu, że moglibyśmy mu polecić lub zabronić obcowanie z młodzieżą, czyż wahalibyśmy się bodaj przez chwilę? Czyż nie osądzilibyśmy, że ze wszystkich ludzi on jest najmniej zdolny i najmniej powołany do napisania takiej książki, i że wogóle po tym pamflecista i donosicielu niepodobna oczekiwać żadnego dzieła, które miałoby siłę przetrwać poza tę jedną chwilę która je wydała? Zapewne takbyśmy osądzili, albowiem nie znamy dostatecznie natury ludzkiej, ani nie umiemy doceniać tych śpiewnych momentów, w których dusza tworzy. Widzimy już tylko sam kwiat i nie domyślamy się jaki nawóz użyźnił jego kształt, zapach i barwę. — Z całego Daniela Defoe bierzemy ostatecznie to co w nim było najlepsze, a może wręcz wyjątkowe, pomijamy wszystkie małe i liche sprawy, z których złożyło się jego życie, i pozwalamy mu trwać jedynie w tym momencie, w którym on, biedny i lichy starzec, zespolił się z wielkiem życiem ludzkości.

JAN PARANDOWSKI

JÓZEF CZYŚCIECKI

PARODJE LITERACKIE

TĘSKNOTA

Parodja wiersza J. Tuwima

Uparła się moja tęsknota,
Uparł się dziki mój żal,
Że muszę ciebie zobaczyć.

A miałem dziurawe kalosze,
Parasol zgubiłem w tramwaju.
A była słota jesienna,
(To znaczy we wrześniu, — nie w maju)
Więc jakże wyjść?
No proszę.

Więc wiersze przy biurku płodziłem,
(Rozpaczy kamienna.)
I z żalu wyłem jak pies.

Bo wiem, że masz nowe kalosze,
Parasol piękny, że proszę
I że na deszcz idealny
Nieprzemakalny
Masz płaszcz.
Więc mogłaś przyjść,
Abym mógł ciebie zobaczyć.
Trzeba było się chyba przemoczyć,
Rozprasować u spodni mych kant,
Iść tam do ciebie — po deszczu
Co? Po błocie człapać.
Tego chcesz?
By każde auto mogło na mnie chlapać,

Dziewko...
Bym się przeziębił,
Miał gorączkę i dreszcze
I z męki ryczał jak zwierz.

A tobie, psiakrew, nieochota.
Wszak tobie w osłonie paltota,
Kaloszy i parasola
Nie szkodzi jesienna dola,
Nie szkodzi jesienna słota:
Mokro... mgła... chlupot błota...

...A uparła się moja tęsknota,
A uparła się moja tęsknota...

(Z „Siódmej jesieni")

RACHUNEK

Parodja wiersza J. Tuwima

Pisze mnie jakiś przez noc całą.
Pisze i pisze, a wciąż mało...
Rośnie stos pustych słów.
Widać: jest słaby i zmęczony.
Widać, że trochę jest wstawiony,
Pisze, przerywa, — już natchniony
Znów.
Nie może spłodzić mnie, nie może,
Myli się, kreśli gorączkowo,
Łowi uparty rym.
Już wypił kawy całe morze,
Owinął swoją biedną głowę
W papierosowy dym.

Miljard miljardów słów-motyli
Waży na myślach się i myli
Rozumowania tok.
Myśli się srożą, myśli grożą,
Że przezwyciężą i ułożą
Słów chaotyczny tłok.
I tu jest źródło mej mordęgi,
Bo piórem twórczej swej potęgi
Mnoży, dodaje, dzieli, kraje,
Rozwija, kurczy, znów dodaje,
Składa, rozkłada, rzeźbi, ciosa —
Spiętrzą się słowa pod niebiosa,
Zaleją papier, nowy znajdą,
Urosną nad poety głową
Pstrokatą, kolorową bajką,
Kolumną runą stułokciową,
Jak wszy rozbiegną się w zakątki,
Rozpadną się i znów rozmnożą
W różne kompleksy, chwyty, wątki
Strofeczki, strofy, strofki, wiersze,
Coraz to dłuższe, większe, szersze,
W tercyny, seksty i oktawy,
W triolitriolety i sonety,
W zwiewne, słopiewne słów si- [klawy,
Spęcznieją w rojne poematy,
Cykle, ballady i kantaty, —
Aż mnie policzą i dodadzą,
Aż mnie przeliczą i sprzedadzą,
Aż mnie na półki księgarń wsadzą,
Aż czytelnicy mnie zobaczą,
Aż mnie zakupią próżne snoby
I będą myśleć przez trzy doby,
Co też wnętrzności moje znaczą.

LIST Z WARSZAWY

ŁUNA NAD STOLICĄ. NIEMORALNY MAGISTRAT. „MAMKĄ" NA PLAŻĘ. WARSZAWSKIE „PIOMBOS". LATARNIA MORSKA W ALEJACH. DYREKTORSKA WYOBRAŹNIA. BÓL KINOMANÓW.

KORESPONDENCJA z Warszawy. Hm. Od czego rozpocząć taką serję listów? Chyba od ogólnej charakterystyki stolicy. Znalazłem nawet piękny tytuł do takiego artykułu: „Miasto w którem myśl nie trwa ani godziny". Tytuł wprawdzie skradziony pewnemu mickiewiczologowi, który nosi się z nim od trzech lat bez skutku, ale cóż to szkodzi? Tkwiłby w tem nawet pewien koloryt lokalny. Kiedy Jarossy'ego, króla polskich conferencierów, zapytał się jakiś jegomość z prowincji, skąd się bierze nad Warszawą łuna, artysta zdumiał się.

— Jakto?! — wykrzyknął. — To pan nie wie, że na złodzieju czapka gore.

Bez skrupułów siadłem tedy do napisania artykułu pod powyższym tytułem. Niestety, okazało się, że mój przyjaciel, specjalista od Mickiewicza, miał rację tylko, o ile chodzi o zimę; w lecie w stolicy żadna poważniejsza myśl nie utrzyma się dłużej nad kwadrans. Pod tym względem przypomina warszawskie mleko „prosto od krowy": na trzecie piętro jeszcze je można od biedy donieść, ale gdy kto mieszka na czwartem, to mu się na pewno zwarzy.

Zrezygnowawszy z ogólnych rozważań, postanowiłem wejść odrazu in medias res, t. j. w centrum stołecznego życia, uchwycić jego najaktualniejszy wyraz. W obecnej chwili życie wyraża się najintensywniej w... rozbieraniu. Rozbiera się wszystko, co żyje i co nie żyje. Tak naprzykład na rogu Mokotowskiej i Pięknej magistrat rozbiera ulicę. Czy przypadkiem nie dlatego właśnie, że Piękna? O Starą to się nie zatroszczy, a Starego Miasta to nie rozbierał, lecz przeciwnie okrył jeszcze polichromją. Pozatem jednak lubuje się w nagości, aż Sodalicja Marjańska zwróciła uwagę, że w żadnem z miast polskich nie stoi po parkach tyle aktów, co w Warszawie. Nie od dzisiaj datuje się ta skłonność, boć już w herbie syrena oddawna nieprzystojnem obnażeniem świeci.



Ludzie rozbierają się kiedy, gdzie i jak mogą. Najszczegółowiej czynią na nadwiślanej plaży. Tutaj też koncentruje się obecnie życie Warszawy. Wsiadłem tedy w „mamkę" i ruszyłem z biegiem Wisły. W tem miejscu czytelnikom z poza Warszawy winien jestem pewne objaśnienie; w przeciwnym razie bowiem gotowi wziąć mnie za ordynansa lub za niemowlę. Nie, nie taką mamkę mam na myśli. Po „warszawsku" nazywa się w ten sposób tramwaj „M" („Mosty"), który przechodzi przez obydwa mosty na Wiśle, t. j. Poniatowskiego i Kierbedzia.

Jechałem, stojąc jedną nogą na stopniu wagonu a drugą wykonując wdzięczne balance w powietrzu. Kontakt z wagonem utrwalałem ponadto przy pomocy lewej ręki, obejmującej kurczowo poręcz, podczas gdy prawa była zajęta zwycięskiem odpieraniem 85-ciu kilo żywej i kobiecej wagi, jakiejś jejmości, którą naprzemian to prawo bezwładności, to siła odśrodkowa wtłaczały w moją klatkę piersiową.

Proszę jednak nie wnioskować, że Dyrekcja Tramwajów nie posiada dostatecznej ilości wozów. Idzie o rzecz znacznie ważniejszą: o umożliwienie ogółowi dodatkowego, fachowego wykształcenia. Warszawianin, który jeździ codziennie tramwajem, staje się po pewnym czasie pierwszorzędnym ekwilibrystą i może liczyć na engagement w jakimś zagranicznym cyrku.

Wreszcie znalazłem się na plaży. To centrum życia przypominało mi, prawdę mówiąc, raczej jakieś pobojowisko, na którem pokotem legło piętnaście tysięcy ciał. Tylko że zamiast krwi, sączył się strumieniami do rzeki pot. Podobno temu należy zawdzięczać, że Wisła do tej pory nie wyschła.

Kto po przybyciu na plażę miał w sobie jeszcze resztkę sił, śpieszył do wody i krył się w falach po czubek głowy. Ku memu zdumieniu zauważyłem kilku osobników, otulonych szczelnie w płaszcze i przechadzających się nieprawdopodobnie dziarskim, jak na taki upał, krokiem po plaży. Między nimi zobaczyłem znanego mi trochę dziennikarza.

— Czy panu nie zimno? — spytałem, widząc jak otula się w płaszcz.

— Troszeczkę — odparł. — Nie dziwiłby się pan temu, gdyby mnie kiedy odwiedził. Mieszkam w nadbudówce, na piątem piętrze. Pokój ma wysokości trochę nad dwa metry. Nad głową blaszany dach i pół zewnętrznej ściany obitej blachą. Przypomina to trochę piombos weneckie; tylko tam przynajmniej dawano locum na koszt państwa, a tu za dwa lilipucie pokoiki trzeba płacić dwieście pięćdziesiąt złotych na miesiąc. Przyjeżdżając z domu na plażę, boję się tak nagłej zmiany temperatury i dopiero powoli przyzwyczajam się do tego miłego chłodu.

O względności pojęć! Czterdzieści osiem stopni nazwać miłym chłodem!

Nie wszyscy jednak mogą podróżować na daleką plażę. Czasy ciężkie a Dyrekcja Tramwajów nie chce przyznać powrotnych zniżek kuracyjnych. Dlatego więc w drugim końcu miasta, w Alejach Ujazdowskich wzniesiono latarnię morską. Można przypatrywać się jej z naprzeciw położonej ławki i wyobrażać sobie, że znajdujemy się na Helu lub pod Rozewiem.

Naogół niebrak wśród nas jednostek, obdarzonych silną wyobraźnią. Dyrektor Szyfman wyobraża sobie naprzykład, że ma niezawodny węch do sztuk, które „chwycą". Okazało się, że, przynajmniej w tym roku, węch ten zawiódł. Przewalały się zarówno pierwszorzędne dzieła, jak marne sztuczydła. Wreszcie ujrzeliśmy dobrą komedję w Małym: „Pierwsza Pani Frazer" J. Ervina. Komedja doskonała, obsada pierwszorzędna, lecz któż na takie upały chodzi do teatru? Jak poprzednio szkoda było publiczności dla sztuki, tak tym razem szkoda sztuki dla pustej sali. Szyfman może za starożytnym poetą jęknąć: „sero clipeum post vulnera sumo". Chyba, że umyślnie wybrał tę antyrozwodową komedję ze względu na zbliżający się okres urlopów i sezonowych miłości i słomianych wdowieństw. Starożytni, co spijali cekuby i falerny, mawiali, że „nox, vinum amorque pepulere". Dziś słowo vinum należałoby zastąpić słowem Zakopane lub Hel, bo nasze wino może być szkodliwe chyba jeszcze dla szesnastoletnich podlotków. To znaczy szkodliwe, o ile chodzi o cnotę, bo pozatem potrafi czasem najtęższego mężczyznę zwalić na łoże boleści żołądkowych.

Czemże są jednak najsroższe dolegliwości organu trawienia w porównaniu z bólem kinomanów i -manek. X. Muza zamknęła swoje warszawskie przybytki. Stało się to naskutek odrzucenia przez magistrat podania właścicieli kin o obniżenie podatku widowiskowego. Strejk ma trwać aż do uznania postulatów właścicieli. Już przed paru laty zdarzyło się coś podobnego. Niema się czem przejmować. Łatwo jest proklamować strejk, kiedy na seansie jest półtora osoby. W jesieni znów ponowi się szturm na magistrat, prawdopodobnie bez skutku, ale właściciele ogłoszą, że nie chcąc pozbawiać szerokich warstw społeczeństwa najdostępniejszej rozrywki kulturalnej, z ciężkim bólem rezygnują ze swych słusznych żądań i otwierają podwoje kin zpowrotem. Naturalnie o ciężkim bólu serca nie warto mówić, bo go sobie odbiją na podwyżce biletów, ale to już u nas weszło w zwyczaj robić wszystko pod hasłem dobra społecznego, nawet zarabia się na społeczeństwie w imię jego dobra. Warszawa zaś kiedy jej przyjdzie rezygnować z różnych tytułów na rzecz innych dzielnic, nie omieszka nigdy podkreślić, że z przed wojny jeszcze była zawsze ośrodkiem pracy społecznej.

S. ESSMANOWSKI

ROLA MUZYKI W ŻYCIU KOBIETY WCZORAJ A DZIŚ

IV. JESZCZE WSPÓŁCZESNA PEDAGOGJA MUZYCZNA

Zastanawiając się nad postulatami, które spełnić musi współczesna pedagogja muzyczna, by sprostać zadaniu przygotowania młodzieży do nowego życia, określimy je ogólnie jako bardziej żywy i bezpośredni stosunek do praktyki. Bez względu na to, jakiego rodzaju ma być w przyszłości ta praktyka, czy będzie ona czynnem wykonywaniem muzyki, czy też tylko przeżywaniem muzyki, z którego jednak każdy z nas wyciągnąć winien pewne wartości pozytywne, musi ona stać pod znakiem pewnego bezpośredniego kontaktu z twórczością muzyczną. Tego właśnie bezpośredniego kontaktu nie miało pokolenie przedwojenne (oczywiście znowu mamy tu na myśli nie poszczególne jednostki o wyjątkowem uzdolnieniu, ale szeroki ogół inteligencji), względnie nie miało ono możności uzyskania tego kontaktu właśnie dlatego, że ówczesny typ pedagogji wyrabiał tylko zewnętrzne zrozumienie sztuki, ślizganie się po jej powierzchni, a nie zmuszał do szukania jej realnych wartości. Widzieliśmy przecież, że w muzyce podziwiano przedewszystkiem odtwórcę, a w tym ostatnim raczej wirtuoza, niż pośrednika pomiędzy kompozytorem a słuchaczem. Ten sposób myślenia warunkował nie tylko nastawienie w stosunku do przedmiotu doznawania artystycznego, ale i sam wybór dzieł: wszystko, co było chwilowo niedostępne, jako wymagające zbyt wielkiego skupienia i powagi ze strony słuchacza, co nie służyło taniej rozrywce, odrzucano jako bezużyteczne.

Jak uzyskać ten żywy i bezpośredni kontakt z praktyką, który człowiekowi współczesnemu umożliwić ma nową formę przeżywania muzyki? Przypuszczam, że najpewniejszą do tego drogą byłoby przepojenie jego życia żywą muzyką, wartościową i poważną, od najmłodszych lat jego życia. Oczywiście, że w naszych obecnych warunkach żądanie takie jest do pewnego stopnia utopją. Wszak nie posiadamy — z wyjątkiem jednej Warszawy — stałych orkiestr, ani zespołów kameralnych, trudno więc o stałe audycje muzyki poważnej, zwłaszcza jeśli miałyby się one odbywać w charakterze koncertów popularnych, dla wszystkich warstw dostępnych. Zdaje mi się jednak, że braki te może zastąpić dziś z całem powodzeniem radjo, które ma wszelkie przecież warunki po temu, by stać się pierwszorzędnym środkiem propagandy muzyki poważnej i pomocą w pedagogji muzycznej. Przychodzą tu do głosu, pomijając wszelkie możliwości czysto techniczne, pewne nawet momenty psychologiczne, specjalnie predysponujące radjo, jako środek propagandy: posiada ono zawsze jeszcze urok nowości, który pozwala człowiekowi współczesnemu śledzić rozwój jego z najwyższem zainteresowaniem. Miesiąc każdy, dzień każdy niemal przynosi nowe postępy w zakresie techniki radjowej, przywykliśmy do tego, że odbiornik radjowy stał się naszym codziennym przyjacielem, umożliwiającym kontakt z całym światem, a jednak nie przestajemy go uważać za najcudowniejszy wynalazek XX wieku, który z każdą chwilą odsłania nam nowe tajemnice. Czyż można wyobrazić sobie idealniejszy środek propagandy muzyki poważnej właśnie dla dziecka, z jego umysłem tak niesłychanie podatnym do chwytania wszystkiego co nowe, byle znaleźć tylko formę, zdolną je zainteresować? W dzisiejszym stanie techniki radjowej w Polsce, gdzie każde większe miasto posiada już własną stację nadawczą, radjo posiada wszelkie dane spopularyzowania się w najlepszem tego słowa znaczeniu. Oczywiście nieodzownym tego warunkiem jest należyty dobór programu. — W tym kierunku zdziałano już u nas bardzo wiele, zwłaszcza gdy idzie o programy transmitowane z Warszawy na całą Polskę, mniej w rozgłośniach innych miast. Traktuje się tam zawsze jeszcze radjo przeważnie albo nawet wyłącznie jako środek najtańszej rozrywki i to rozrywki dla wszystkich, wychodząc z założenia, że jest ono przeznaczone dla najszerszych mas. Założenie zupełnie zresztą słuszne; zdaje mi się jednak, że nie należy go interpretować w ten sposób, jakoby wszystko, co się podaje w radjo, miało być absolutnie zrozumiałe i dostępne dla wszystkich, — jak to się jeszcze dzieje przeważnie, — lecz, by każdy radjosłuchacz bez różnicy wieku, zawodu i wykształcenia znalazł tam odpowiedni dla siebie pokarm duchowy. Założenie „wszystko dla wszystkich" obniża poziom audycyj i odczytów radjowych, nie przyczyniając się równocześnie do spopularyzowania nauki i sztuki. Każdy bowiem radjosłuchacz przynosi ze sobą pewne specjalne zainteresowania, które przy dzisiejszej specjalizacji wiedzy nigdy prawie nie będą zainteresowaniami ogółu. Jeżeli zaś idzie o muzykę w radjo, musi ona odpowiadać możliwie wszechstronnym zainteresowaniom pod jednym, jedynym warunkiem: musi być zawsze dobrą muzyką. Czy będzie to muzyka poważna czy lekka, dawniejsza czy nowoczesna, musi zawsze znajdować się na pewnym poziomie, który gwarantuje jej bezwzględną wartość artystyczną. Z tego punktu widzenia należy przeprowadzać daleko idącą selekcję w zakresie tego, co podaje się dziecku do słuchania przez radjo, i tu zaczyna się pierwsze zadanie kobiety-matki, czy kobiety-pedagoga w zakresie pedagogji muzycznej. Można tu zdziałać bardzo wiele jeszcze zanim szkoła rozpocznie wykształcenie specjalnie muzyczne, zarówno u dzieci, które powołane są dzięki swym talentom do tego, by kształcić się później zawodowo, jak i u wszystkich innych. Chodzi przedewszystkiem o to, by urabiać smak dziecka i by przygotować je do przeżywania wrażeń muzycznych wszelkiej kategorji, co może się stać tylko przez praktyczne obeznanie go z muzyką najróżnorodniejszych stylów i epok. W muzyce treść zaklęta jest w symbole dźwiękowe, zmieniające się w czasie i w przestrzeni. Z chwilą, gdy zatrzymujemy się przy tych symbolach, jako niezrozumiałych, gdy obce nam jest samo zjawisko słuchowe, nie może być mowy o tem, by dotrzeć do wewnętrznej treści dzieła. Ujęcie tej treści zgodnie z zamiarem kompozytora będzie prawdopodobnie zawsze dziełem intuicji i ogólnych duchowych predyspozycyj słuchacza. Zrozumienie czysto słuchowe i formalne będzie mu jednak pomocne nawet wówczas, gdy nie będąc sam muzykiem, nie interesuje się specjalnie problemami formy.

Jeżeli idzie o reformę szkolnictwa specjalnie muzycznego, winna ona położyć główny akcent na pierwsze lata nauki w wieku przedszkolnym. Oczywiście nie mam tu na myśli praktycznej nauki gry na instrumentach, jednostronne jej uprawianie i skupienie uwagi dziecka przedwcześnie na zagadnieniach techniki raczej zacieśnia jego horyzonty. Przed rozpoczęciem nauki praktycznej cudownym wprost środkiem umuzykalnienia jest system gimnastyki rytmicznej Dalcroze'a, niezastąpiony niczem, jeżeli idzie o wyrobienie poczucia rytmu, a nawet o uprzystępnienie dziecku zrozumienia najogólniejszych problemów formy w muzyce. Na późniejszym stopniu nauki pierwszorzędną wagę zyskuje dyktat muzyczny, w którym zaczynając od zadań najłatwiejszych, jednogłosowych, postępować można w miarę zdolności ucznia do coraz bardziej skomplikowanych, co w nieprawdopodobnej wprost mierze wysubtelnia i kształci słuch. Niezbędną też zarówno dla muzyka, zawodowo pracującego praktycznie, jak i dla średnio wykształconego amatora jest znajomość historji muzyki. Niestety, doniedawna jeszcze traktowana ona była nawet w zawodowych szkołach muzycznych wyłącznie teoretycznie, a tem samem mijała się z celem. W żadnej sztuce słowo, niepoparte żywym przykładem, nie jest tak bardzo martwą literą, jak właśnie w muzyce. Muzyka bowiem nie da się przetłumaczyć na język słowa, jeżeli ma przemówić i być zrozumianą, to tylko w swym własnym języku. Nic nie pomoże opowiadać uczniowi o systemie muzyki średniowiecznej, o kontrapunkcie staroklasycznym, jeżeli nie usłyszy on specyficznego brzmienia tych kompozycyj i nie wniknie w ich odmienne piękno na podstawie własnych doświadczeń. I tu znowu z pomocą przychodzi radjo i znakomicie już udoskonalone instrumenty mechaniczne. Płyty gramofonowe oddają nam dziś te same usługi, co ongiś koncert historyczny, wymagający skomplikowanego i specjalnie wyszkolonego aparatu wykonawczego.

Dopiero w ten sposób pojęta synteza teorji z praktyką dać może młodzieży prawdziwe zrozumienie tego, czem jest dzieło muzyczne w najrozmaitszych swych przejawach, może ją przygotować do aktywnego przeżywania sztuki wszelkich stylów i epok, poczynając od najdawniejszych, a kończąc na współczesności. — Wówczas dopiero i praktyka wykonawcza, do której powinno się przygotowywać tylko dzieci o wyjątkowem uzdolnieniu, nabiera dla nich innego znaczenia: staje się już nie mozolnem odczytaniem symbolów muzycznych, pozbawionem często wszelkiego głębszego znaczenia, ale każdorazowym cudem powołania do życia myśli twórczej, zaklętej w formy artystyczne.

Dr STEFANJA ŁOBACZEWSKA

ROZMOWA ZE STEFANEM GRABIŃSKIM

Dok. art. ze str. 308

i przepiękna liryka mego ulubionego poety L. Staffa. Z obcych: Wiktor Hugo, Ibsen, Dostojewski, Poe, Andrejew, Gjellerup, Pirandello, Antonio de Hoyos y Vinent (Hiszpan) i mój ulubiony autor, genjalny nasz rodak (niestety, pisarz angielski) — Józef Conrad (Korzeniowski), którego „Korsarza" przeczytałem w oryginale pięć razy. Co za wspaniały człowiek i co za artysta! Byłabym ciekawa jeszcze, dlaczego te właśnie utwory podziałały na wyobraźnię świetnego pisarza silniej niż inne, ale — czas skończyć! Już i tak wywiad przekroczył ramy godziny, a artykuł obowiązującą normę jednej stronicy druku.

MICHALINA GREKOWICZ

STWORZONA DO MIŁOŚCI

Pani Adela nie mogła się zdecydować, w jaką ma się dziś ubrać suknię: W żółtą? seledynową? błękitną? — czyli, jak przemawia poezja interesów bławatnych: koloru słońca, księżyca, czy gwiazd? To też, roztrzęsiona wskutek rozterki, kolejno wszystkie trzy suknie przymierzała przed lustrzaną szafą, dobierając do nich drobne, a przeto najważniejsze szczegóły stroju. Potem jeszcze sprawa perfum, dziś zakupionych w probówkach łutowych; walka z mało pomysłowym fryzjerem; potem ostatnie, wciąż mnożące się zakupy — wszystko to bezgranicznie wyczerpało biedną panią Adelę.

Trzeci już dzień trwa to podniecenie. Porządki generalne, poganianie krawcowej i szwaczek, rozprawy nad programem zabaw i ceremonjału, by wszystko wypadło naturalnie, by nie wyszedł najaw ogrom wysiłku nerwowego, tremy i tłumionej radości. Całe bowiem miasto (Krzaczyn, gród niemal że wojewódzki, przynajmniej z aspiracjami do tej rangi), wszyscy już wiedzą, że niespełna za godzinę przyjeżdża z Warszawy Armand Tempowski, prawdziwy, żywy Tempowski, znakomity aktor stołeczny. Wszyscy też wiedzą, że Tempowski przybywa jako gość pani Adeli i jej męża, gość, którego aż do stanu konwulsji zazdrościć będą gospodarzom krzaczyńskie mężatki, wdowy, panny, nie wyłączając jedynej w mieście, prawdziwej zresztą rozwódki i trzech separatek. Dostojny gość spędzi w Krzaczynie dwa dni w drodze do Moczanowa-Zdroju, na zaproszenie męża pani Adeli (koledzy przecież szkolni z jednej ławy, zażyłość w stopniu na „ty").

Armand Tempowski w Krzaczynie! W domu pani Adeli! Cóż to za przewrót, co za rujnacja — o kosztach nie mówi się w takich razach — co za radosny wypadek w przyrodzie! Bywa przecież oberwanie się chmury, zdarza się w górach lawina lub zsunięcie się lodowca — tu zaś w szare, płytkie łożysko dni krzaczyńskich spada nagle kawał słońca. I jak tu się dziwić, że pani Adela ze swych niewątpliwych trzydziestu ośmiu lat straciła pięć albo też i więcej, że przemogła nawet swą cnotę oszczędności, przez zawistnych zwanej już sknerstwem, że przedwcześnie rozbrojona z powabów, dorabia sobie je nagwałt, nie zważając na koszty i trudy, nie skąpiąc grosza modniarkom i fryzjerom.

Taka rujnacja, taki w domu zamęt (nie mówiąc już o potwornych wydatkach)! Nowe firanki, odnowione portjery, odświeżone portjery, strojenie zdechłego Schroedera z naderwanemi pedałami i z grzebieniem młoteczków, doszczętnie prawie obdartych ze skórki. Niesposób było przecież zmieniać solidniejszych sprzętów, ani nabywać drogich obrazów, żeby „ładniej wisiały", gdyż wszelka rozrzutność ma przecież swoje granice.

Adela rozejrzała się po małżeńskiej sypialni, którą na czas pobytu gościa łaska pani domu podniosła do godności „buduaru", mąż bowiem będzie sypiał w swoim gabinecie dentystycznym. Gniazdo zdobiły teraz wytłaczane plusze, łoże w stylu, wyrażającym pogardę wszelkim formułom i więzom estetycznym, na ścianach ramy złocone z zawartością, która się wymyka dyskusji. Pani Adela nie boi się tych braków, gdyż wie, co rzec gościowi:

— Skoro się jest żoną dentysty w Krzaczynie (w uśmiechu jej ma być rezygnacja albo przestrach nagłych uświadomień — rzecz jeszcze nie postanowiona), to trzeba się przystosować do tła... By niechętnych oczu nie kłuć i samej nie cierpieć...

A potem on się odezwie: „Oh, wiem, że kto jak kto, ale to pani chora jest na pogański kult piękna". Tak, on to zrozumie na pewno. Następnie doda: „Nawet w Krzaczynie będzie pani sobą, AŻ sobą". — „Aż sobą? — To jest kim?" — spyta Adela poprzez uśmiech, w którym będzie rezygnacja lub przestrach, co jeszcze wymaga ustalenia. „Oh, jakżeż trafnie określił panią Koperczak!". Niewolnica Krzaczyna domyśli się sensu tych słów: Tempowski weźmie przecież do rąk książkę, ofiarowaną pani Adeli przez autora, książkę z dedykacją: „Samotnej palmie w pustyni". Wprawdzie tytuł dzieła opiewał: „Plomby metalowe czy z porcelany?", ale poetycki przypisek trzymał dzieło na stole, jako ozdobę największego kalibru.

Zbliżała się piąta, oczekiwana godzina przyjazdu gościa. Senny w ciągu upalnego dnia Krzaczyn ożywił się. Zaroiło się na obu deptakach rynku i pod płóciennemi ocieniami cukierenek. Gdzieś niedaleko grzmi fałszywie miedź i mosiądz: to orkiestra strażacka przygotowuje się do jutrzejszego garden-party, cierpliwie lecz bez powodzenia próbując „Ramony".

Tak, jutro w ogrodzie miejskim, w t. zw. „spacerniaku" odbędzie się doroczna loterja fantowa na cel dobroczynny. Strojny tłum, confetti, ognie sztuczne, orkiestra, bufet... Ośrodkiem atrakcji stanie się jednak pani Adela i stąpający obok niej Armand Tempowski. Od chwili przyjazdu gość żyć będzie jak w olśnieniu. Trochę smutny, małomówny. Chociaż magnetycznie przyciąga uwagę całego Krzaczyna, patrzy tylko w nią, panią Adelę. Wszyscy to widzą. Kobieca połowa Krzaczyna szaleje z zawiści, ale pani Adela tego nawet nie zauważy: pełna bólu, lecz wspaniale nad sobą panująca. Może oboje nagle uświadomią sobie dramat, że się spotkali za późno, gdy ona nie wolna jest (od czternastu lat), a on, co zgóry przekreśla wszelkie możliwości — on, przyjaciel męża... Potworne odkrycie szczęścia, które ich nie doszło!

— „Szczęście bowiem jest jak... Jak co? — trzeba przecież coś powiedzieć o szczęściu."

Trochę nieforemny organ powonienia pani Adeli niespokojnie poruszył nozdrzami. Oderwawszy się od lustra i od marzeń, dama wpadła do kuchni, zwymyślała tam Franciszkową, poczem wróciła niezwłocznie do rojeń i praktyk kosmetycznych.

— „Szczęście"... — tego jednak można śmiało zaniechać. On bowiem z pewnością spyta: „Czy pani kocha męża?" A ona wtedy: „Hipolit imponuje mi swoją prawością". „Ale pani nie odpowiedziała mi na pytanie". Pani Adela zarumieni się lub zblednie — to należy jeszcze ustalić. „Czy ja...? ON bardzo mię kocha". Po-

tem wyrzuci z siebie żywiołowe wyznanie: „Chcę, pragnę kochać! Umiem kochać śmiertelnie! Oszaleć z kochania! Wiem, że jestem stworzona do miłości". Nie, to raczej on powinien taką diagnozę wycharczeć nieprzytomnie, z zachwytem, z męką, z torturą serdeczną: „Miłość to pani żywioł. Wiem, że pani stworzona jest do miłości". I, zahipnotyzowany wizją jakowąś, zakończy: „Jacy mybyśmy byli szczęśliwi!". „Proszę tego nie mówić, panie Armandzie. Chwila to, poryw, szał. Wierzę, że ostatecznie mogłam na panu niejakie zrobić wrażenie... Ale rychło pan zapomni. Zresztą... Zresztą wyrzec się szczęścia osobistego — to największe szczęście, proszę mi wierzyć". On zaś zagryzie wargi do krwi. „I to jest właśnie absurd bytu, drwina losu, gdy takie słowa słyszy się z ust kobiety, stworzonej do miłości".

Pani Adela znowu nachmurzyła się.

— „Ta świnia Franciszkowa z pewnością coś mi przypali" — syknęła, zapudrowując sobie szyję i dość zasobny kark. — „Trzeba szelmę wyrzucić na cztery wiatry... I wytrącić jej z zasług dwa i pół złotego za stłuczony wczoraj półmisek".

Skrzypnęły drzwi. Do laboratorjum ponęt i zadum wszedł, ubrany w biel lekarską, szczęśliwy posiadacz tej, która stworzona jest do kochania.

— Tempowski depeszuje, że nie przyjedzie. Za tydzień jego ślub. Zawsze pełen pomysłów, jak Boga kocham, zawsze nieobliczalny! — śmiał się z uznaniem małżonek.

Pani Adeli pociemniało w oczach, jakgdyby na chwilę zagasło nad Krzaczynem słońce. Jakby zamarło dzianie się świata. Nawet strażacy poniechali opornej, nieprzystępnej „Ramony". W tej chwili mocą tajemnej reakcji niechybnie zgorzkniały w cukierniach mdłe mazagrany, a z kasztanów na deptaku pewnie sypnęły się umarłe nagle liście.

— To może odrazu siądziemy do stołu, bo djabelnie mało mam dzisiaj czasu — ziewnął męski głos, dziwnie bierny i płaski w obliczu powszechnego kataklizmu.

Pani Adela otrzeźwiała. Rzeczywistość krzaczyńska, popielate z dnia na dzień, chemikaljami dentystycznemi zapowietrzony dom, dom zduszonych marzeń, wszystko to w jednej chwili stało się obmierzłe, gorzkie, jątrzące.

Bielona i różowana twarz pani miała teraz taki wyraz, że pan w lekarskim fartuchu, zawodowo cuchnący chemją, z pewną troską wziął w ramiona kształty małżonki, gładkie uperfumowanemi jedwabiami. Ona zaś cisnęła mu w twarz gniewny, jakby skręcony w pasji krzyk:

— Precz z łapami, nudziarzu! Szczypce do wyrywania zębów ściskaj, a nie mnie, jeśli ci się zachciało uścisków!

WACŁAW FILOCHOWSKI

PIERŚCIEŃ Z SOLITEREM

6)

Wedle najskrupulatniejszych obliczeń dopiero za trzy lata będzie mógł się ożenić. Termin ten był ściśle zależny od sumy, figurującej na wspólnej książeczce P. K. O. Zwiększenie miesięcznych wkładów było prawie niemożliwością. Bo i na czem oszczędzić? Z jednej strony Sporecki miał swoje niezłomne wymagania na punkcie eleganckiego wyglądu pracowników, z drugiej matka troskliwie czuwała nad należytem odżywianiem się syna. Wszelkie próby przeprowadzenia oszczędności kosztem własnego zdrowia rozbijały się o jej łagodne, lecz całą mocą matczynego serca poparte perswazje. A z matką niełatwo było sobie dać radę, bo staruszka zaraz występowała z propozycją ograniczenia swych potrzeb. Na to Jerzy nie mógł się zgodzić.

— Nie chcę szczęścia, okupionego twojemi wyrzeczeniami się — mówił, kapitulując wzamian za przyrzeczenie ze strony matki, że będzie o sobie pamiętała.

Trzyletni termin gnębił go jednak z każdym dniem bardziej. Coraz trudniej było mu żyć samą tylko myślą o Hance, która, nadomiar nieszczęścia, po objęciu nowej posady miała jeszcze mniej czasu dla niego niż poprzednio. W miłość Jerzego coraz bardziej zakradał się pierwiastek zmysłowego pożądania. Porał się z niem, jak umiał. Wieleż upartego panowania nad sobą kosztowały go te krótkie, urywane pocałunki, które radby przedłużyć w nieskończoność? Jakiegoż wysiłku potrzeba było, by poskromić ręce, garnące się do kształtów kobiecego ciała. Wieleż to razy aż palcami musiał rozcierać mięśnie w kątach ust, tężejące z pokonywanego pragnienia.

To panowanie nad sobą nie płynęło z wyrozumowanych zasad jakiejś przesubtelnionej etyki seksualnej. Tkwił w niem lęk przed reakcją ze strony Hanki, Hanki takiej, jaka żyła w jego wyobraźni i zasłoniła mu zupełnie realną, z krwi i kości postać młodej dziewczyny. Ten obraz ukochanej kobiety wytworzył sobie jeszcze przed poznaniem Hanki i okrył nim Glicównę, niby jakąś wspaniałą draperją. W tworze fantazji szukał ucieczki od najłatwiejszej miłości — kupnej, do której miał wstręt; a przed próbowaniem szczęścia, które mu wróżyły czasem wiele mówiące uśmiechy klientek, powstrzymywała go ambicja, przeczulona wskutek życiowego załamania. Między dwoma typami kobiet, hamowany wstrętem i dumą, wytworzył sobie własny typ, będący kontrastem do obydwu poprzednich: kobiety ubogiej i równocześnie anioła cnotliwości. Z chorobliwym uporem wmówił w siebie twór własnej wyobraźni, a gdy mu nagle przyszło zrealizować marzenia w postaci Hanki, nie mógł jej widzieć inną od wyrytego w duszy obrazu. Hanka musiała być stuprocentową, niezłomną dziewicą, do której droga wiodła jedynie przez małżeństwo. Sam mocując się z potężniejącym naporem zmysłów, nie widział pragnienia, co czasem i jej oczy przesłaniało, nie spostrzegał, jak słowa jej rwą się nieraz bezładnie, jak wargi jej chcą przytrzymać jego nerwowo cofające się usta. Musiała odegrać swą rolę aż do końca.

Cała pasja Jerzego wyładowywała się w oszczędnościowych projektach. Jeżeli dziś pozwolił sobie na auto, to poza względami bezpieczeństwa przyczyniła się nadzieja na prowizję, którą Sporecki mu obiecał w razie sprzedaży okazyjnie kupionego pierścionka. Właściwie nie nadzieja, a pewność. Jerzy nabrał już pewnego handlowego doświadczenia.

— Kupi droższy, choćby dla tego samego, że droższy — myślał. — Któraż z nich nie lubi wydawać, zwłaszcza nie ze swoich pieniędzy. Prowizję jakbym miał w kieszeni. Toż się Hanka ucieszy. Zaraz w południe, podczas przerwy zaniosę pieniądze do kasy. O dwa miesiące wcześniej może być ślub. Dwa miesiące!

Była to zaledwie jedna osiemnasta wyznaczonego terminu. Ale o tem nie myślał. Przeciwnie, rozciągał ten okres czasu; przeżywał każdy z sześćdziesięciu jeden zarobionych dni. Wreszcie wydało mu się, jakby ślub nie był tylko przyśpieszony o dwa miesiące, lecz wogóle miał się odbyć za dwa miesiące.

— Ależ to akurat będą imieniny mamy — przypo-

mniał sobie i równocześnie spostrzegł pomyłkę. Lecz myśli raz nabrawszy radosnego rozpędu, nie dały się przytłumić smętnej rzeczywistości. Jerzy zaczął robić obliczenia, ile czasu musiałby czekać, gdyby podobne okazje zarobienia prowizji trafiały się częściej. Raz na miesiąc, na dwa, raz na kwartał. Przyszedł do przekonania, że ta ostatnia możliwość jest zupełnie prawdopodobna. Wprawdzie nie zdarzały się dotychczas tak często, lecz idą teraz ciężkie czasy i ludzie będą wyprzedawać kosztowności.

— A za to mniej będzie nabywców — zreflektował rozsądek. — Znów ogarnęło go zniechęcenie.

— A jeśli wygram dolarówkę? — powróciła ulubiona ułuda.

W wyobraźni Jerzego zarysowała się piękna willa. Znał doskonale jej rozkład. Przebiegał w myśli pokoje. Gabinet: miękkie, przepaściste kluby, piękna bronzem inkrustowana bibljoteka, na biurku telefon i taki wspaniały kałamarz, jaki dziś widział u Wrońskiego. Na górze — cofnął się myślą, by systematycznie przejść po schodach, prowadzących z hallu. — Na górze pokój matki, koniecznie na południowy zachód, w ciepłym, złocistobrunatnym tonie, czeczotowe meble w stylu biedermaier, jakie z dzieciństwa pamięta u babki. — Bo przecież będzie już babcią — pomyślał z czułością. Pokój dziecinny, słoneczny, jasny, śmieszne malutkie mebelki, na ścianie dookoła biegnie fryz: krasnoludki, muchomory, Jaś i Małgosia.

Buduar Hanki. Zobaczył go całkiem wyraźnie. Każdy tylekroć obmyślany szczegół. Przez alabastrową amplę sączy się stłumione światło. — A może lepiej zapalić małą lampkę na stoliku? — (Obraz zmrocznił się nieco.) Wchodzi do pokoju. Hanka już czeka na niego — przez chwilę się zawahał, gdzie zlokalizować jej postać. — Ma na sobie penjuar. Zielony. A może lepiej różowy? — posłuszna wyobraźnia momentalnie zamieniła kolory. — Różowy, obramiony łabędzim puchem. Hanka wyciąga ku niemu ręce i w tym samym momencie penjuar się rozchyla.

Znów się zawahał. Co podsunąć wyobraźni? Czy wykwintną koronkową bieliznę, jaką niedawno oglądał w sklepie obok Sporeckiego, czy...?

— Toć przecie tutaj — przerwał mu marzenia głos szofera i stuk otwieranych drzwiczek.

Wysiadł, zapłacił auto i sprawdziwszy raz jeszcze dany mu na karteczce adres, wszedł na schody, myśląc, jak Hanka się jutro ucieszy, gdy jej opowie o „zarobionych" dwu miesiącach.

V

Mijał trzeci miesiąc od czasu, jak Hanka porzuciła biuro. Idąc za radą Zuli, zrezygnowała z szukania nowej posady. W domu oświadczyła, że pracuje w Polimexie, a ponadto na popołudnia przyjęła obowiązki damy do towarzystwa u pewnej staruszki, u której czasem przyjdzie jej spędzić noc, jeżeli chlebodawczyni będzie się czuć gorzej. W ten sposób miała rozwiązane ręce. Dla pozorów wpadała na obiad, coraz mniej jej smakujący, i wracała późnym wieczorem, jeśli wogóle wracała. Ponieważ jednak powiększyła równocześnie o pięćdziesiąt złotych kwotę wpłacaną miesięcznie matce, nikt nie miał do niej żadnej pretensji. Wawrzyńcowa tylko wyrażała czasem obawę, czy aby córka nie przepracowuje się zanadto.

Przedpołudnia spędzała na automobilowych wycieczkach po okolicy, a po obiedzie odpoczywała w gustownie urządzonej garsonjerze Wrońskiego, która już poprzednio służyła im za miejsce spotkań, a którą obecnie dyrektor oddał jej do rozporządzenia na cały czas.

Wydobycie się z ciężkiej atmosfery domu, zupełny odpoczynek, kilka godzin spędzanych codziennie na świeżem powietrzu, a przedewszystkiem pewność, że w niedługim czasie będzie mogła położyć kres podwójnemu życiu — wpłynęły dodatnio na psychiczny stan Hanki. Zniknęła dawna obawa, że Jerzy może odkryć prawdę. Nie wierzyła w tak potworną możliwość. Jeżeli nie wykryło się nic przez przeciąg dwóch lat, to miałożby to nastąpić teraz, gdy od wyzwolenia dzieliło ją trzy, najwyżej pięć miesięcy? Wykluczone.

Gdyby zechciała spieniężyć otrzymaną od Wrońskiego biżuterję, mogłaby już w tej chwili z nim zerwać. Lecz postanowiła zwrócić wszystkie prezenty. — A pieniądze? Uspokajała się myślą, że nie zażądała sama nigdy ani grosza od kochanka. Robiła tylko oszczędności na sumach, jakie jej dawał na toalety, wycieczki i drobne wydatki.

Kilkakrotnie wracały z Zulą do rozmowy, którą miały wtenczas w cukierni po niefortunnej wizycie u Sterna. Przemyślała dokładnie jej poszczególne punkty w czasie automobilowych przejażdżek. Pozwoliło to spojrzeć na sytuację pod nowym kątem widzenia.

Dawniej bała się myśleć o chwili zerwania z Wrońskim, choć jej gorąco pragnęła. Nie mogła się obronić poczuciu moralnego zobowiązania, wobec mimowolnego sprawcy jej wspólnego szczęścia z Jerzym. Obecnie patrzyła na swój stosunek z Wrońskim jako na pewien rodzaj milczącej, handlowej umowy. Przyszło jej wprawdzie na myśl, że umowa, której tajne klauzule, dotyczące rozwiązania w wyrachowanym zgóry terminie, są znane tylko jednej stronie, nie jest całkiem uczciwa, lecz tym logicznym objekcjom potrafiła z niespodziewaną chytrością przeciwstawić argumenty uczuciowe. — Wzbudziła w sobie nienawiść do Wrońskiego.

Hanka przestała się trapić odpowiedzialnością wobec Jerzego. Uważała za śmieszny, przeżyty przesąd pogląd, domagający się od kobiety ofiarowania nienaruszonej cnoty mężczyźnie, którego ma poślubić. Był to nieistotny drobiazg, wobec istotnej treści małżeńskiego współżycia, jaką było wedle niej jedynie uczucie. Wiedziała doskonale, jak głęboko ten przesąd jest zakorzeniony w duszy Jerzego. Lecz czyż dla tego, co jest przesądem, ma poświęcać szczęście nietylko własne, lecz i ukochanego? Nigdy! Przypominała sobie z dzieciństwa swój straszny lęk przed wyrwaniem zęba, od którego utworzył się już wrzód. Prośbą ni groźbą nie można ją było zmusić do otworzenia ust u dentysty. Wreszcie matka z lekarzem zaręczyli jej najsolenniej pod słońcem, że rezygnują z wyrwania; tylko trzeba przecież założyć lekarstwo. Zwiedziona obietnicą Hania otworzyła buzię i w chwilę potem ząb leżał na stoliku. Czyż tych dwoje dorosłych ludzi nie miało prawa oszukać jej, głupiego dziecka? Zrozumiała to dobrze w parę lat później, gdy koleżanka jej umarła z powodu przedostania się ropy z zęba do mózgu. A Jerzy jest właśnie takiem wielkiem dzieckiem, — czuła się dziwnie dojrzałą w stosunku do niego, które ona ma prawo i obowiązek nawet oszukać. Dziecko, za które musi myśleć, troszczyć się, działać. Czuła się wobec niego w zupełnym porządku. Pragnęła tylko wymyśleć taką jeszcze kombinację, któraby pozwoliła zebrane przez nią pieniądze uczynić jego udziałem, wniesionym do mającego powstać gospodarstwa.

— Niechby miał jeszcze i to zadowolenie swojej męskiej próżności — myślała, niby rozsądna matka, co trzymając inicjatywę wychowawczą silnie w rękach daje równocześnie dziecku jak najwięcej poczucia samodzielności.

Oczyszczając siebie, Hanka przerzuciła cały ciężar odpowiedzialności na Wrońskiego. Był winien nie w stosunku do niej, lecz do Jerzego. Skrzywdził go, zabierając to, do czego tylko Jerzy miał prawo. Hanka godziła się, że nie była to krzywda istotna, niemniej z punktu widzenia Jerzego nie do naprawienia. Miłość kazała jej

tę krzywdę wyolbrzymić, aż wreszcie zrodziło się w niej uczucie gwałtownej nienawiści do Wrońskiego. Narazie musiała jeszcze nad niem panować. Skryła je w głębi duszy, możnaby powiedzieć: zamagazynowała do czasu zerwania. Przyda się wtenczas, by ułatwić zlikwidowanie przeszłości. A tymczasem, wtłoczony w mrok podświadomości kapitał nienawiści rósł i procentował z każdym dniem. Niekiedy chwytał ją w objęciach Wrońskiego nagły wstręt do przymusowego kochanka; wystarczało wtenczas zamknąć oczy i narzucić wyobraźni postać Jerzego, a Wroński aż truchlał wobec szału namiętności, jaki ogarniał Hankę.

— Trzech lat trzeba było, — myślał — żeby rozbudzić zmysły w tej dziewczynie, ale teraz gotów jestem sam się spalić w tym pożarze.

Tymczasem w rzeczywistości przestał ją już fizycznie pociągać. Sama Hanka była zdumiona, tak nagle to się stało. Ciągnęły ją zmysły do niego jeszcze wtenczas nawet, gdy już znała i kochała Jerzego. W przeciwnym razie może nie zdecydowałaby się wrócić doń po paromiesięcznej przerwie; względy pieniężne nie odegrały tak wyłącznej roli, jak to przedstawiła Zuli. Obecnie Wroński zobojętniał jej zupełnie. Pierwszy, instynktowny głód zmysłów został nasycony. Świadome pragnienia kierowały się wszystkie w stronę Jerzego. Ulubionem zajęciem, kiedy w przytulnej garsonjerze oczekiwała przybycia Wrońskiego, było snucie obrazów przyszłego, wspólnego życia z Jerzym.

Tego samego jesiennego, wyjątkowo ciepłego popołudnia, gdy Jerzy w gabinecie Wrońskiego starał się gorliwie zarobić przyrzeczoną prowizję, Hanka okryta tylko lekkim, jedwabnym szlafroczkiem, jaki zarzuciła, wychodząc z łazienki, stała w zadumie przed dużem lustrem garderobianej szafy. Spokojnym, świadomym wartości swego ciała wzrokiem przyglądała się zwierciadlanemu odbiciu. Analizowała dokładnie linję nóg, łamiącą się koło kolan i rosnącą zwolna, ledwie dostrzegalnym obłym łękiem ud i biódr, by zamknąć się wkrąg łona niby obrębem kruży, kryjącej w sobie upojne szaleństwo zmysłów. Bacznie przyjrzała się piersiom. Nie, nie były zbyt wydatne. I jędrne — dotknęła ciała zlekka palcem. — Cofnęła się krok wstecz. Jest piękna. Uśmiech zadowolenia ustąpił innemu, bardziej serdecznemu, rzewnemu.

— Będziesz mnie miał, mój maleńki, całą, niepodzielnie — myślała — i piękną. Doczekasz się jeszcze. Nie zbrzydnę do tej pory. Jerzyku mój, — szepnęła półgłośno.

I nagle jakby zawstydzona, szybkim ruchem ściągnęła szlafroczek. Zwolna podeszła do otomany i siadła.

— A narazie to Wroński — pomyślała niechętnie. — Niedługo już powinien być tu. — Oh, kiedyż się to skończy. Jeszcze parę miesięcy tylko przecież. Trzeba wytrzymać. W y t r z y m a ć — powtórzyła dobitnie. — Już prędzej, niż dalej. Za pół roku będę może tak czekać na Jerzego.

Wsunęła się głębiej w róg otomany.

Będzie na niego czekać. Dłużej niż na Wrońskiego. Biedaczysko, cały dzień poza domem. Ale to nic. Nudzić się jej nie będzie. O, nie. Znajdzie robotę. Przecież dom utrzymać to nie fraszka. Niewielki wprawdzie to będzie ten dom, ale co gospodarstwo to gospodarstwo. Przyjdą dzieci — Hanka wyraźnie zaczęła tęsknić za dzieckiem. — No przecież nie tak odrazu. Najgorsze będą popołudnia, kiedy Jerzy wróci do sklepu, a w domu już niema żadnej pilnej roboty. Weźmie sobie chyba książkę i będzie czekać na niego. Ot, tak jak w tej chwili właśnie. — Hanka utkwiła stęskniony wzrok w drzwiach, jakby miała się w nich ukazać postać Jerzego.

W tej chwili zadźwięczał dzwonek.

— Jest już! — i radośnie zerwała się, żeby wybiec naprzeciw.

— To przecież tylko Wroński — ocknęło się poczucie rzeczywistości.

Weszła służąca.

— Jakiś pan od pana dyrektora.

— Od pana dyrektora — zdziwiła się trochę Hanka. — Niech wejdzie.

Usiadła zpowrotem na otomanie, ściągając szczelnie szlafroczek. W drzwiach ukazał się Jerzy.

Zerwała się przerażona, niezdolna wymówić ani słowa. Stała wpół obnażona wpatrując się weń, jakby nie wierzyła własnym oczom.

Jerzy zatrzymał się blady, z rąk wypadła mu teczka. Długo wodził wzrokiem po Hance.

— Ty?.. Tu?.. Aaa..! Na niego czekasz! Tak na niego czekasz.

— Jerzy! Jerzy! Ja ci wszystko wytłumaczę. Jerzy, nie patrz się tak na mnie. Słuchaj mnie, nie potępiaj. My możemy być tacy szczęśliwi... Ja tylko dla ciebie... i ja tylko ciebie jednego! O Boże! Żebyś ty mógł mnie zrozumieć, Jerzy. Żebyś ty mógł mnie zrozumieć.

A czuła doskonale, że nie mógł jej zrozumieć, że wszystkie słowa są daremne. Padła na kolana i wlokła się ku niemu.

— Jerzy!...

— Ty tak na niego czekasz! — powtórzył.

Chwyciła go za nogi.

— Jerzy, posłuchaj mnie tylko!

Poczuł na sobie ciepło jej ciała. I nagle ogarnęło go dziwne uczucie. Po raz drugi w życiu. Pierwszy raz to było w dwudziestym roku. W opuszczonej przez bolszewików wiosce znaleźli trupy dwóch polskich oficerów. Zmasakrowane nieludzko. Nogi zwęglone, oczy wyłupione, na piersiach i czole wycięte pięcioramienne gwiazdy. Jerzy miał wstręt do przelewania krwi. Myślał niekiedy, że wśród tych wrogów, pędzonych ztyłu przez komisarzy maszynowemi karabinami, są ludzie, co może tak jak on mają matki, i żal mu było tych matek daremnie oczekujących powrotu syna, opuszczonych na stare lata. Lecz gdy zobaczył okropnie okaleczałe zwłoki, zapomniał o tych skrupułach, poczuł jakby nagle stężał cały, jakby mu krew wszystka z serca uciekła, wszelka myśl w mózgu szczezła. Miał pustkę w sercu i pustkę w głowie i niewyraźny alkaliczny posmak w ustach. Chciał mordować. I gdy w pół godziny później osaczyli oddział bolszewików, szedł do ataku jak lunatyk. Wyrosły przed nim jakieś postacie. Z rozkoszą niewypowiedzianej ulgi wbijał w nie bagnet i darł trzewia, lub gruchotał czerepy kolbą; a za każdym razem czuł, że znów krew zaczyna przypływać do serca i w mózgu zawiązuje się rozdarte przędziwo myśli. To było raz wtenczas, w dwudziestym roku i nie wróciło. Aż dzisiaj znowu poczuł, jak serce się kurczy, zsycha nagle, jak pierzcha wszelka myśl, a ślina ma dziwny, alkaliczny posmak.

— Jerzy, posłuchaj mnie tylko!

Jakby wypchnięte sprężyną, wyciągnęły się jego ręce, palce zacisnęły wokół szyi Hanki.

— Jerzy... Jeeee......

S. ESSMANOWSKI

PRZECINEK I KROPKA

NAZAJUTRZ po dniu, w którym zostałem kapłanem domowego ogniska, rozesłałem do znajomych zawiadomienie następującej treści:

Marja z Panieńskich i Józef, Antoni Kawalerscy po długich i ciężkich rozważaniach zawarli w dniu 23-im maja 1931 r. w kościele Ś-tego Pafnucego w NN. związek małżeński, o czem niniejszem zawiadamiają.

Zawiadomienie zredagował mi sam właściciel drukarni, który — jak twierdzi — zęby na tem zjadł, — nie miałem więc żadnych wątpliwości, że wszystko jest w porządku i jak każe dobry ton. Małżonka moja — wyjątkowo! — była tego samego zdania.

Tymczasem... Na drugi dzień otrzymuję od przyjaciela mego Ceśka depeszę:

Pani Marji z Panieńskich i Panom Józefowi i Antoniemu Kawalerskim życzę szczęścia w trójkącie.

Co u licha, — myślę sobie. Co za brednie! Jednak po namyśle zrozumiałem ostrze dowcipu. Ten przecinek między Józefem i Antonim jest niepotrzebny. Zły znak — powiadam.

— Tak, — przytakuje żona, — zły znak przestankowy.

— Nie przestankowy, a wogóle zły znak. Zły omen.

— Nie mówi się omen, tylko amen.

— Omen! — ryknąłem groźnie.

— Amen, — szepnęła Marja z Panieńskich słodko, a przenikliwie.

— Daj spokój, bo pójdę sobie i wszystko między nami skończone, na amen.

— Na omen, — sprostowała pieszczotliwie małżonka. Przecież sam mówiłeś: omen.



— Amen! — huknąłem.

— Omen, — zaśpiewała słowiczym głosem.

— Amen!

— Omen.

— Marjo, zlituj się, nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Zrozum, o co chodzi.

— Wiem. O ten przecinek i o tę depeszę.

— No tak. To jest zły znak.

— Mówiłam. Zły znak przestankowy.

— Zły znak, zły omen, zła wróżba — wycharczałem resztką sił.

— Dlaczego?

— No ta depesza. To: „panom Józefowi i Antoniemu" i to o trójkącie.

— Aha. A wszystko przez ten przecinek.

— Tak. Przez ten zły znak przestankowy.

— Przez ten zły amen.

— Jezu, — jęknąłem, — broń mnie przed mordem!

— Józik, co ty wygadujesz? Przecież, primo, morda jest rodzaju żeńskiego, a więc „przed mordą", nie „przed mordem", secundo, to jest słowo trywialne i człowiek dobrze wychowany go nie używa, — wreszcie tertio, — ja mam twarzyczkę, a nie m...., fe, co za słowo! — twarzyczkę, słodką buzię, którą zaraz, natychmiast proszę pocałować. No, tylko zaraz. Zaraz!

— Nie mówi się: zaraz, — ryknąłem, — tylko zaraza tyfus plamisty, dżuma, żółta febra, trąd!

Marja tymczasem, nie zważając na moją wściekłość, złożyła wargi w kółeczko i wysunęła je jak tylko mogła najdalej.

Nie. Tego już było za dużo. Nie mogłem się opanować. Przebaczcie mi, Czytelniczki. Wiem, że tak prawdziwy stuprocentowy mężczyzna nie powinien zrobić. Wstydzę się. Tak z kobietą nie należy postępować. Ale cóż. Nerwy nie wytrzymały. Zerwałem się, objąłem Marję gwałtownie i...

...i pocałowałem ją.

I jakoś mi przeszło...

* * *

W jakiś czas po tym przecinku przyjechała do nas siostra żony. Bardzo sympatyczna niewiasta, choć już, — jak mówi nasz wieszcz narodowy, który jej zresztą osobiście nie znał, — „pod lat niewieścich schodząca południe". Zaraz na wstępie, po przywitaniu, powiedziała, że jestem przystojny. Tak. Tak powiedziała. Proszę! Czy to nie miło stwierdzić, że ktoś ma poczucie piękna? Potem znowu przy jakiejś okazji powiedziała, że mnie kocha jak syna (ma tylko córkę), że jestem święty człowiek i że Marja wygrała los na loterji, wychodząc za mnie. No? Jak nie uwielbiać takiej szwagierki? Jak nie mieć szacunku dla tak trafnej charakterystyki człowieka?

Do innych zalet tej wyjątkowej kobiety zaliczyć mu-

szę to, że przywiozła nam oprócz błogosławieństwa masę praktycznych drobiazgów, że krótko u nas była i że mieszka daleko na kresach, na krańcu Rzeczypospolitej.

Szwagierka nosiła (oczywiście nosi również obecnie) piękne imię Luna. W metryce „stoi“ wprawdzie napisane: Salomea, ale to nikogo przecież nie powinno obchodzić. Tem więcej, że z imieniem Luna jest jej bardzo do twarzy, wygląda bowiem rzeczywiście jak księżyc w pełni i waży bez przesady 90 kilogramów, a z przesadą około stu. — Dość powiedzieć, dla określenia ogromu tej wiotkiej niewiasty, że żeby ją obejść dokoła trzeba przynajmniej pięciu minut czasu. O niej to zdaje się pisał w proroczem widzeniu cytowany już wyżej nasz wieszcz:

Luna tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien pójdzie w tan parami.

Właśnie wstąpiła do nas, jadąc do Karlsbadu, gdzie oprócz 200 dolarów miała zostawić 20 kilogramów swego cennego ciała. Luna twierdziła zresztą, że robi to tylko dla męża, sama bowiem o linję nie dba.

— Dobrze jest ważyć 90 kilogramów, — mówiła. — Człowiek ma wszędzie pierwszeństwo i większy szacunek u ludzi, bo majestatycznie wygląda.

— Tak jest, — potwierdziłem. — Jesteś rzeczywiście doskonale zbudowana i poprostu nad wiek rozwinięta.

— Wszędzie pierwsza wchodzę, wszędzie wszyscy mnie przed sobą puszczają.

— Słusznie. Jabym cię w jednym tylko wypadku przed sobą nie przepuścił.

— No?

— Gdybyśmy mieli przechodzić przez kładkę.

— Jesteś niegrzeczny, Józiku, — wtrąciła żona.

— Tylko dzieci muszą być grzeczne, — odparłem. Zresztą, waży 90 kilo, czy nie waży?

— No dobrze, ale poco zaraz stawiać kropkę nad i?

— Od tego jest „i“, żeby miało kropkę.

— Głupi jesteś. Tu chodzi o przenośnię.

— Luna nie nadaje się do przenośni, bo jest za ciężka.

— Ale nie Luna, tylko kropka.

— Jaka kropka?

— No, kropka nad i.

— To znaczy — Luna w przenośni to jest kropka? Ładna kropka?

— Tylko bez przycinków.

— Skąd znowu przecinek? Powiedziałem: kropka.

— Józik, nie błaznuj, bo znowu wyprowadzisz mnie z równowagi. Powiedziałeś, co chciałeś i dosyć. Kropka!

— Jakto kropka? Przecież mówiłaś, że nie trzeba stawiać kropki.

— Ale kropki nad i.

— A gdzie tu masz „i“?

Marja zacisnęła gniewnie zęby, rzuciła na mnie wściekłe spojrzenie, spostrzegłszy jednak, że oboje z Luną pokładamy się ze śmiechu, rozjaśniła twarzyczkę i rzekła filuternie:

— „I“ nie mam, ale mam kropkę.

— Jaką kropkę?

— No, ten pieprzyk na szyi.

— Pieprzyk?

— Tak. Tę kropkę.

— Nad i?

— Nie, na szyi. Tu.

I znowu uległem... Pocałowałem. Raz, drugi, trzeci. Zakołowało mi się w głowie. Kropka zniknęła mi z oczu, więc zacząłem jej szukać ustami... Luna wyszła z pokoju i......

Proszę się domyśleć. Nie mogę przecież stawiać kropki nad i.

* * *

Takiemi oto poważnemi kłótniami znaczymy miodowe miesiące, tygodnie, dni i godziny.

Luna wyjechała do Karlsbadu. Zwymyślałem ją, bo przecież trzeba popierać uzdrowiska krajowe, ale ona powiedziała, że do Krynicy jechać nie chce, ponieważ już ma jedno dziecko i to jej narazie wystarcza.

Zostaliśmy sami. Jest strasznie gorąco. Nawet kłócić się nie można. Dowcip wyparował mi z głowy, czego najlepszym dowodem jest niniejszy fejleton. Jestem smutny jak marsz pogrzebowy. Słaniam się na nogach z przemęczenia.

Jadę na urlop.

Dowidzenia, piękne Czytelniczki. J. CZ.



W CZEM KOBIETA PRZEWYŻSZA MĘŻCZYZNĘ

MÓWI SIĘ zazwyczaj, że kobiety zazdroszczą mężczyznom, że ustępują im wszystkich ich przywilejów, — okazując równocześnie zdolność i gotowość wzięcia na siebie tej odpowiedzialności, jaka im przypada zgodnie z prawami natury. Co do mnie jednak, to mogę być wdzięczną jedynie tym tajemniczym mocom mającym wpływ na kształtowanie się płci człowieka, wdzięczną za to, że mogę patrzeć na życie oczyma kobiety.

Ta bowiem „płeć brzydka" żyje pod znakiem nieznośnego przymusu, jakkolwiek mówi się o mężczyznach, że oni tylko potrafili utrzymać dla siebie wolność i swobodę, podczas gdy kobiety musiały żyć w samotności klasztornej.

Życie mężczyzny polega przedewszystkiem na przymusie i tłumieniu naturalnych odruchów uczuciowych.

Zdawaćby się poprostu mogło, że kto należy do płci „silniejszej", — temu nie wolno dokonywać pewnych rzeczy. Mężczyzna musi zawsze pozostawać poważnym, zamkniętym w sobie, rozważnym i opanowanym, — co mu dopiero umożliwia surową autokontrolę. A tymczasem kobieta zwycięża zawsze na całej linji, kiedy uczucie wchodzi w grę. Może sobie pozwolić na zbytek, — zbytek łez. Prawda, że zbytek ten może ją czasem narazić na zaczerwienione oczy, czy na ból głowy; z drugiej znów strony jednak oczy po płaczu nabierają świetniejszego blasku, — a taki „serdeczny płacz" na pewno nigdy ani nie przytępi, ani nie wyczerpie zupełnie jej uczuć. Kiedy mężczyzna ma jakieś wyjątkowo ciężkie zmartwienie, będzie szukał pociechy w trunku, albo wybuchnie gniewem, by tą drogą wyładować swoje uczucia, — nie będzie jednak ronił łez, jak kobieta, która chusteczki swojej używa równie dobrze do nosa, jak i do oczu.

Łzy w oczach kobiety jednają jej ogólną sympatję, płaczący natomiast mężczyzna naraża się raczej na pośmiewisko.

Łzy bywają nierzadko wentylem bezpieczeństwa dla uczuć znajdujących się w stanie zbytniego naprężenia. Ze łzami spływa ukojenie i spokój. Naprawdę, natura bardzo to mądrze urządziła. Niejedna młoda dziewczyna znajduje we łzach ulgę i ukojenie, co jej ułatwia zwycięskie przełamanie kryzysu uczuciowego. Ale młody chłopiec wie o tem, że nie wolno mu objawiać nazewnątrz swych uczuć, choćby był niemi równie silnie opanowany, jak jego siostra, należąca do „płci słabej".

Prawda, jako dziecko nieraz żalił się z płaczem przed swą matką, opowiadając jej swoje bóle i zmartwienia. Żył wówczas życiem uczuciowem, bezgranicznie przez matkę kochany i pieszczony. Skoro jednak zaczął chodzić do szkoły, zorjentował się szybko, co to znaczy uchodzić za „beksę" lub za „babę". Zaczął tedy przytłumiać swoje uczucia. Przed swymi rówieśnikami musiał taić wszystkie swe tajemne tęsknoty. Wolno mu było posługiwać się pięścią, gonić za piłką nożną, rozwijać i krzepić przyrodzoną męską siłę, — ale nie wolno mu było nigdy, w żadnych okolicznościach, okazywać się sentymentalnym.

Tego rodzaju przykazania jednak nie mogły pogodzić się z przykazaniami natury, która w sercu młodzieńca zaszczepiła romantyczne tęsknoty, niemniej silne niż w sercu jego sióstr, które jednak naraziłyby go na bezlitosne drwiny jego rówieśników, gdyby chciał się z niemi zdradzić.

Jego siostra może łzy ronić przy czytaniu wzruszającego romansu, może swobodnie iść za każdym popędem serca; — jemu nigdy płakać nie wolno! Lata młodzieńcze, — to przedewszystkiem okres hamowania i tłumienia uczuć. Uczą go wstydzić się swych uczuć, taić się ze swą tęsknotą do romantyzmu.

Przeciętny człowiek uważa małżeństwo za owe wrota, wiodące w królestwo romantyzmu. I t o j e s t w ł a ś c i w y p o w ó d, d l a k t ó r e g o m ę ż c z y ź n i s i ę ż e n i ą. I choćby im nawet nieraz porządnie przytarto rogów, choćby owoce ich miłości niezawsze wydały pożądane żniwo, — zawsze szukać będą szczęścia na tej właśnie niwie małżeńskiej.

„Dom rodzinny", „rodzina", — to słowa, posiadające jakąś magiczną siłę przyciągającą, słowa, co krzepią i podnoszą. Mężczyzna szuka na towarzyszkę życia „dobrej kobiety", wie bowiem, że tego właśnie i przedewszystkiem od kobiety spodziewać się powinien. Większość kobiet zgodną jest co do tego, że mężczyzna, któremu już raz w małżeństwie się nie powiodło, ożeniwszy się po raz drugi będzie dobrym mężem. Będzie się starał za tą drugą próbą zdobyć szczęście w małżeństwie, bogaty w doświadczenia nabyte poprzednio. I nierzadko staje się wyrozumiałym, kochającym małżonkiem; walczy bowiem o zwycięstwo miłości celem zaspokojenia swego życia uczuciowego, — o to zwycięstwo, które w pierwszem jego małżeństwie nie było mu danem.

Mężczyzna normalny ma wrodzony, instynktowny pociąg do małżeństwa, — z tego właśnie powodu, że posiada on usposobienie romantyczne, a przez całą swą młodość zmuszony był hamować i tłumić swe uczucia. Zdaje mu się, że w małżeństwie znajdzie romantyzm, — podczas gdy dotąd jedynem jego ukochaniem były sporty. A romantyzm nęci nas wszystkich, zarówno kobiety jak i mężczyzn. Potrzebne nam są te cudowne przygody miłosne, one bowiem wywierają przemożny a tajemniczy wpływ na nasze życie. Skoro mężczyzna znajdzie w kobiecie wszystko to, co znaleźć się spodziewał, skoro może przed nią odsłonić swe zamknięte „ja", pewny, że znajdzie pełne zrozumienie i sympatję, skoro w osobie wybranej znajdzie ową przecudną trójjedność: matkę, żonę i kochankę, — wówczas można mówić o doskonałem małżeństwie.

Każdy mężczyzna żeniąc się szuka tylko szczęścia, — mężczyzna bowiem jest — romantykiem. Mężczyźni to są właśnie najgorliwszymi poplecznikami i filarami prastarej instytucji małżeńskiej, — o n i b o w i e m u m i e j ą k o c h a ć l e p i e j n i ż k o b i e t y.

Mężczyzna przeważnie żeni się dlatego, że jest zakochany; natomiast nie wszystkie kobiety wychodząc zamąż są zakochane, choć niejedna może i myśli sobie, że miłość przyjdzie później, po ślubie. A czyż który mężczyzna żenił się kiedy z podobną myślą, że miłość przyjdzie dopiero po zawarciu małżeństwa?

Jeżeli małżeństwo wyobrazimy sobie jako port, do którego zawijają małe samotne łódki, — to w każdym razie mężczyzna kieruje do tego portu swą łódź, pędzony elementarną koniecznością, kierowany namiętnością, szukając w nim ciszy i spokoju. Natomiast kobieta przybliża się do tego portu ostrożnie, rozglądając się bacznie, czy rzeczywiście ów port jest najlepszym na całem wybrzeżu, i długo się namyśla, zanim zarzuci kotwicę.

Powiedzmy to sobie szczerze i otwarcie: w małżeństwie mężczyzna kocha, kobiecie natomiast wystarcza to, że jest kochaną...

Dzięki temu, że nikt nie zmuszał jej do tłumienia swych uczuć, może kobieta, w chwili gdy staje przed zagadnieniem małżeństwa, zdobyć się na jaśniejszy pogląd, może też łatwiej opanować romantyczność. Kobieta rozsądna może z kochającym ją mężem zrobić wszystko co zechce, może ukształtować swe pożycie małżeńskie zupełnie wedle swego upodobania, — o ile tylko nie będzie w niczem hamowała romantycznych uczuć swego męża, lecz przeciwnie podtrzymywała w nim ten romantyzm, do którego tęskni. Cały sęk w tem tylko, że nie każda kobieta potrafi być rozsądną!

JOANNA KENNEDY

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

CZASEM NIE ZAWADZI przypomnieć o przykazaniach piękności, które obowiązują zależnie od pory roku.

W lecie nie należy:

Spać przy zamkniętych oknach. Jednakowoż przewiewu podczas snu nawet w okresach upałów trzeba się wystrzegać, gdyż nieruchome ciało we śnie jest mniej odporne na zmiany temperatury od ciała w ruchu.

Pić napoi alkoholowych, o ile je ktoś wogóle pija, i wtedy zasadniczo w ciągu dnia nie, chyba późnym wieczorem w minimalnych dawkach. Alkohol działa podniecająco na krążenie krwi, a w następstwie skóra twarzy i rąk nabiera brzydkiego zabarwienia. Częste skargi pań na to, że podczas jedzenia dostają wypieków sinawoczerwonych, że im dłonie czerwienieją i podbiegają żyłkami — ustaną, jeśli zaprzestaną pić alkohol i spożywać bardzo gorące potrawy.

Późno iść spać i późno wstawać.

Rano po obudzeniu wylegiwać się godzinami. Działa to źle na cerę, apetyt i — humorek.

Wychodzić tylko podczas słonecznej pogody. — Owszem, wilgotne powietrze deszczowe doskonale odżywia skórę, wraca jej elastyczność, soczystość. Dlatego też różne piękności, uświadomione o tem działaniu, odbywają długie przechadzki podczas deszczu i twierdzą, że nic tak naskórka nie regeneruje, jak piesza wycieczka w dniu deszczowym.

Wchodzić do zimnej kąpieli, gdy rozgrzane ciało transpiruje. Trzeba przedtem osuszyć ciało dokładnie, odpocząć i wrócić do normalnej temperatury. W przeciwnym razie grozi zaziębienie połączone z różnemi komplikacjami.

Jeść ciężkostrawne potrawy i za tłuste. Ani też mięsa za dużo. A już zupełnie z jadłospisu wyłączyć wieprzowinę, wędliny i ciemne mięso. Tak samo ostre przyprawy, pikantne sosy i t. p. Jest to niekorzystne nietylko dla cery, ale dla ogólnego stanu zdrowia i nerwów. Cierpią na tem również i oczy; tracą ogień, matowieją, a delikatne piękno ciemnej oprawy przemienia się w ostro zarysowane podkowy.

Przesadzać w braniu kąpieli czy to rzecznych lub morskich, czy też słonecznych. Za długie przebywanie w wodzie osłabia, źle wpływa na system nerwowy, naraża na zaziębienia. Podczas kąpieli słonecznych głowa musi być zabezpieczona przed porażeniem i osłoniona zawojem lub parasolką. Kąpiele słoneczne przeciągające się ponad normalnie zakreślony czas trwania — grożą życiu.

Pić ani jeść lodowato zimnych płynów i potraw wtedy, gdy ciało zgrzane i spocone lub strudzone po wycieczce, po zawodach sportowych i wogóle po wysiłku fizycznym.

Lodów i chłodników pochłaniać szybko, lecz spożywać je powoli, by nie ochłodzić nagle przełyku i żołądka. Znane są przypadki ciężkich schorzeń, zapaleń i innych dolegliwości, spowodowane nieprzestrzeganiem powyższych wskazówek higjeny, które w lecie są na każdym kroku bagatelizowane.

Zapominać o codziennych ćwiczeniach gimnastycznych, chyba że zastąpią je sporty, gry i zabawy na wolnem powietrzu. Ażeby zachować młodość, oraz elastyczność członków, trzeba płucom dostarczyć niezbędnej dla nich ilości tlenu.

Zaniedbywać zimnych nacierań całego ciała. Hartuje to je i uodpornia przeciw zaziębieniom i niespodzianym zmianom temperatury. Pobudza również łagodnie obieg krwi, co znowu wpływa na piękność skóry i cery.

Skąpić witaminów, surowych dań, jarzyn, sałat i owoców. Witaminy zawarte w jarzynach i owocach odświeżają krew, odmładzają cały organizm, oczyszczają cerę i nadają jej piękną karnację.

° ° °

W lecie dobrze jest rozpocząć hartowanie ciała, gdyż jest się mniej narażonym na ewentualne zaziębienie.

W lecie najłatwiej przyzwyczaić się do kąpieli powietrznych, których wartość jest rzadko komu znana, a ogólnie niedoceniana. Skóra, jeśli ma być zdrowa i funkcjonować normalnie, musi swobodnie oddychać tak jak płuca. To, że cały dzień pozostajemy w ubraniu, niezawsze idealnie porowatem, a w nocy śpimy w bieliźnie i pod przykryciem, upośledza oddychanie skóry i naraża ją na różne przypadłości. Dlatego jednym z ważniejszych postulatów higjeny jest codzienna kąpiel powietrzna. Nie jest ona tak trudna do przeprowadzenia, jak się to często słyszy. Można bowiem kąpiel powietrzną odbyć podczas toalety porannej i wieczornej, w pokoju i w łazience, przy otwartych oknach. Zatem bez straty czasu, bez specjalnych urządzeń. A i gimnastykę codzienną powinno się wykonywać nago. Kto się przyzwyczai w lecie do kąpieli powietrznych nie potrafi się obejść bez nich w zimie.

W lecie za mało korzystają panie z kwiatów, owoców, jagód i jarzyn do celów higjeniczno-kosmetycznych. O witaminach w odżywianiu była już mowa powyżej. Ale można i skórę nasycać witaminami, używając soku ze świeżych poziomek, ogórków, białych lilij do zmywań codziennych. Można robić wody i kremy poziomkowe, ogórkowe, liljowe i z innych kwiatów, jagód lub owoców. Czytelniczki „Świata Kobiecego“ zebrały chyba dosyć przepisów w ciągu kilku lat i mogą z nich korzystać w porze letniej.

W lecie wikt powinien być zasadniczo zmieniony: lżejszy, pozbawiony ile możności mięsnych dań, za to dużo jarzyn, sałat, owoców, dużo potraw w surowym stanie, kwaśnego mleka, soków owocowych, kompotów. Przy pomocy takiej diety dokonywa się idealna przemiana materji i odbudowa organizmu. W lecie powinniśmy mniej jadać, aniżeli w zimie, co zresztą sam organizm reguluje wykazując mniejszy apetyt. Jednostki nie znoszące upałów powinny zupełnie zarzucić mięso.

W lecie skóra łatwiej wysycha pod działaniem gorąca, słonecznych promieni, wiatru, wycieczek, plażowania i sportów. Pamiętać więc trzeba o odżywianiu jej dobrym tłustym kremem i o odpowiedniem myciu. Temat ten był omówiony szczegółowo w jednym z artykułów wraz z podaniem potrzebnych recept.

W lecie ubranie powinno być lekkie, przewiewne, materjały jasne, porowate, fasony sukien niezbyt przylegające, gdyż magazynują ciepło. Obuwie z cienkiej skórki, na niskich, słupkowych obcasach, obszerne, stopa bowiem powiększa się pod wpływem gorąca i utrudnia chodzenie, o ile obuwie ściśle przylega. Panie skarżą się w lecie na obrzmiewanie nóg w kostce, stopie, na bóle, uczucie ciągłego znużenia i trudność w chodzeniu. Lekarze twierdzą, że jest to skutek noszenia na ulicę w ostatnich latach wysokich, cienkich, w skośnej linji ku przodowi biegnących obcasów. Bo o ile można od biedy zgodzić się na takie obcasy przy wieczorowych sukniach, na gładkiej posadzce salonu i na krótko — o tyle zwalczać je trzeba przy obuwiu codziennem. — Wprawdzie podobno żadna z pań nie wierzy, żeby przyczyną dolegliwości były karkołomne obcasy, ale badania i doświadczenia lekarzy przemawiają na niekorzyść obcasów. Zresztą moda przecina tę ważną kwestję i nakazuje obecnie do obuwia codziennego wygodne, niskie obcasy.

EFEB

PLOTECZKI O MODZIE

O SUKNIACH ŚLUBNYCH

Poważne piękno sukni ślubnej wypowiada się w prostocie linji i szlachetnym materjale, oraz zharmonizowaniu modelu z walorami fizycznemi Panny Młodej. By toaleta wypadła korzystnie, trzeba uwzględnić wzrost oraz tuszę i tym dwom warunkom podporządkować krój, układ fałdów, rodzaj trenu, upięcie welonu i wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

Kilkuletnie próby usunięcia sukni ślubnej w cień, a zastąpienie jej kostjumem lub wizytową toaletą, zakończyły się powrotem do dawnego, tradycją uświęconego zwyczaju. Zagranica a za nią i my uznajemy, że jednak nic tak wdzięcznie nie przybiera Panny Młodej jak białe zwoje szaty i zwiewny obłok welonu.



Materjał na suknię ślubną musi być miękki i posłusznie układający się w fałdy. Z używanych obecnie wymienić należy: crêpe satin, crêpe romain, żorżetę, gaze-chiffon, a z droższych i strojniejszych: morę i velours chiffon, oraz połączenie lamy srebrnej z tiulem.

Najpiękniej wypadają toalety powściągliwe w swej prostocie tak pod względem materjału jak kroju. Żadnych ekstrawagancyj, przeładowań, przybrań. Biżuterja wyłączona. Długa do ziemi suknia, długie rękawy, małe wycięcie odsłaniające szyję. Pojawiło się sporo modeli robiących wrażenie szat na obłóczyny, tyle powagi kryje się w posągowych, łagodnie opadających fałdach, dyskretnie kryjących zarysy ciała.

Kolor biały był zawsze a i dziś jest ściśle związany z pojęciem o stroju Panny Młodej, mimo prób z kolorem kości słoniowej. Ostatnio nawet zaryzykował jeden ze słynnych krawców paryskich, Worth, suknię ślubną opalizującą niebiesko. Inni z koronki złotej lub srebrnej. Londyn lansuje kolory: turkusowy i beige. Pozatem czerwone okrycie, takież pantofelki i wianek z czerwonych kwiatów. Są to jednak oderwane przypadki, które nie stanowią o powodzeniu tych pomysłów na przyszłość.

Welon ślubny wymaga specjalnego omówienia. Przykładamy do niego dużą wagę, gdyż od jego upięcia zależy mniej lub więcej efektowny wygląd toalety. Więc przedewszystkiem kwestja wyboru materjału na welon. Mamy do dyspozycji tiul -- który nazywamy iluzją, — koronkę, muślin jedwabny; ostatnio modne są welony z materjałów sukni, np. z żorżety, która daje wspaniałe, niby rzeźbione fałdy, albo z gaze-chiffon. Tiul może być obszyty koronką, tak samo muślin jedwabny i gaze-chiffon.

Umocowanie welonu na głowie nie przedstawiało dawniej żadnej trudności, gdyż długie włosy pozwalały na przypięcie bezpośrednio do nich szpilkami. Przy włosach krótkich musimy sobie radzić inaczej. Np. wąską białą wstążką obciskamy głowę dokoła i do niej przypinamy krytym sposobem tiulowy welon, chowając szpileczki pod obfitemi jego zwojami. Wstążkę pokrywamy tej samej szerokości pliską z tiulu, albo na przypięty już do niej welon wkładamy wąską obręcz z poszczególnych kwiatków pomarańczy. Korony i wieńce pomarańczowe wyszły z mody, natomiast colier z kwiatków pomarańczy, kończący się tuż nad pasem, bardzo mile wygląda.

Siatki z pereł, na których upinano welon, zostały zarzucone przez wytworne elegantki. Bardzo słusznie, zresztą. Ich miejsce zajęły czepeczki z tiulu w kolorze włosów, dokładnie obciskające głowę. Welon upięty na nich trzyma się niby cudem.

Pęki lilij, gardenij lub innych białych kwiatów nad uszyma rażą przy dzisiejszych dążnościach do surowej prostoty. Coprawda, dobrze ubierające się panie nie używały ich nigdy.

Sposoby upięcia welonu są liczne i zależne od typu urody. Inne ramy trzeba stworzyć dla twarzy pełnej, inne dla szczupłej, dla okrągłej lub owalnej. Inne dla zupełnie młodziutkiej, inne dla dojrzalszej. Pamiętajmy o tem, że upięcie welonu może stworzyć czarujące ramy dla twarzy, być zwiewnym poematem lub — jego parodją. Zasadniczo welon odkrywa czoło i twarz, ale przy tiulu widujemy czasem twarz przesłonioną do połowy nosa, a nieraz tiul opada aż na piersi. Welony obszyte koronką, mogą mieć koronkowy czepeczek, z pod którego wysuwają się zwoje tiulu lub gaze-chiffon. Żorżety nie łączy się z niczem innem.

Tren jest dziś nieodzownem uzupełnieniem toalety ślubnej. Kwestja, jakiego ma być kroju, od pasa czy też z ramion spływający musi być rozstrzygnięta zależnie od wzrostu. Wysoki wzrost pozwala na przerwanie linji od pasa, dla osób niskiego wzrostu korzystniejszy jest tren od ramion idący. Przy sukniach bez trenu welon ślubny musi być tak długi, by sam tworzył tren.

Okrycia do sukien ślubnych muszą być również białe, z kołnierzem futrzanym. Biały lis, albo gronostaje bez ogonków lub jakaś udatna imitacja. Zamiast futrzanych mogą być kołnierze suto marszczone z tego samego co okrycie materjału, który stanowi aksamit jedwabny, velours-chiffon, panne, aksamit tłoczony. Drogi to szczegół, takie okrycie ślubne, ale nie obowiązkowy. Informuję na wszelki wypadek, by w sprawozdaniu nie opuścić żadnego szczegółu, obejmującego całokształt stroju ślubnego. Zresztą, okrycie ślubne może być później użyte jako okrycie balowe, zwłaszcza wobec mody kontrastów i faworyzowania koloru białego.

Kwestja bukietu ślubnego przedstawia się następująco: bukiet nie jest szczegółem obowiązującym. Wiązanka białych kwiatów uroczo uzupełnia ślubny strój wtedy tylko, gdy całość robi wrażenie pełne majestatycznej prostoty. Wysmukłe, słuszne lub przynajmniej średniego wzrostu panie dobrze się prezentują z bukietem, natomiast niskie i tęższe powinny z niego zrezygnować. Za granicą widuje się nierzadko Panny Młode z książeczką do nabożeństwa.

W obronie sukni ślubnej powiem tyle, że luksusem nie jest, jak to w okresie jej kilkuletniej banicji głoszono. Każdy jedwab i krepę można ufarbować i użyć na suknię wizytową lub codzienną, a dopóki kolor biały jest w modzie, łatwo zmienić suknię ślubną na balową. Wystarczy odpruć rękawy i tren, a wycięcie pogłębić. Strój zaś ślubny jest tak wzruszająco piękny i tyle poezji wnosi w ceremonjał chwili, że kto tylko może sobie na to pozwolić niech się go nie zrzeka. Przestrzegać tylko trzeba jednej zasady: suknia ślubna nigdy nie powinna robić wrażenia zbyt strojnej toalety. Odświętnej, majestatycznej, czasem posągowej, ale nie strojnej. Odradzam też serdecznie wszelkich ozdób, haftów, srebrnych koronek, lam, bo to nie jest odpowiednie dla sfery średniej. Nie trzeba się wzorować na opisach toalet ślubnych z kół dworskich lub ze świata miljarderek, bo tam przepych i bogactwo strojów ma pełne uzasadnienie. Obowiązki reprezentacyjne, nieograniczone środki finansowe i luksusowe otoczenie stawiają tym paniom inne wymagania. Zbytek w sferze średniej jest zupełnie nie na miejscu, zwłaszcza gdy pociąga za sobą wydatki, na które trzeba zaciągać pożyczki. Rozpoczęcie nowego życia od nieopatrznego szafowania pieniędzmi ponad stan nie wróży nic dobrego. Za chwile fałszywej świetności wypada później gorzko płacić i odmawiać sobie najpotrzebniejszych rzeczy. Lepiej więc wybrać to, co jest najcenniejszą zaletą każdego stroju, a już nadewszystko ślubnego — wytworną prostotę. Ona bowiem nie zawiedzie nigdy i najwdzięczniej przystroi każdą Oblubienicę.

Stroje drużek zależą od umowy z Panną Młodą. Różne są tu możliwości: jednakowe fasony i kolory sukien i kapeluszy — jednakowe fasony, odmienne kolory. Dotychczas drużkom był zabroniony biały kolor, ostatnio jednak ukazały się w Paryżu i w Londynie drużki w bieli, w toaletach tiulowych lub koronkowych.

Toaleta matki Panny Młodej musi być nacechowana powagą wyrażającą się tak w barwie, jak w kroju. Z kolorów odpowiedni jest srebrzysto-popielaty i ciemne pastelowe odcienie. Dawniej wyklęty był kolor czarny — obecnie dozwolony w połączeniu z dyskretnem przybraniem kolorowem, z przodem jasnym, z haftem srebrno-złotym.

CAILLER-SOBAŃSKA



WYTWORNE SUKIENKI LETNIE



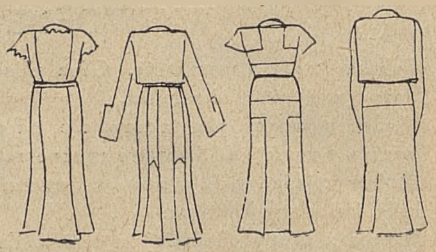
90 Suknia łetnia z markizety. Góra plisowana. Bolerko przybrane plisowanemi riuszkami. Pasek z ciemnej aksamitki.

91 Model nadający się szczególnie na przydłużenie zbyt krótkiej sukni. Rękawki krajane wraz z karczkiem. Szerokie ręczne mereżki wdzięcznie zdobią suknię.

92 Suknia z jasnego fularu w ciemny rzucik, przybrana plisami zacinanemi w zęby. Ciekawy krój, imitujący kostjum.

93 Suknia z krepy chińskiej w centki. Zamiast rękawów rodzaj pelerynki. Pasek skórkowy w odcieniu centek.





94 Wdzięczny komplet żakiecikowy. Suknia z wiśniowej krepy chińskiej z wyłogami wyciętemi w zęby. Żakiecik z ciemno-wiśniowej krepy marocain, o brzegach również zacinanych w zęby.

95 Oryginalny komplet złożony z sukni z jasnej żorżety w deseń i ciemnego bolera, które wykonane jest krojem żakietowym a ozdobione złotemi guzikami.

96 Komplet zestawiony z białej sukni z żakiecika cytrynowego. Przybranie z drobnych guzików i zakładeczek.

97 Komplecik składający się z wytwornej w swej prostocie sukni oraz z żakiecika krajanego wraz z miękkiemi wyłogami. Jako przybranie guziki.



98 Komplet z czarnej krepy chińskiej w białe centki. Góra staniczka z białej krepy w czarne centki. Staniczek przylegający, lekko drapowany. Żakiet z półdługiemi rękawkami, które są wykończone dwiema falbankami.

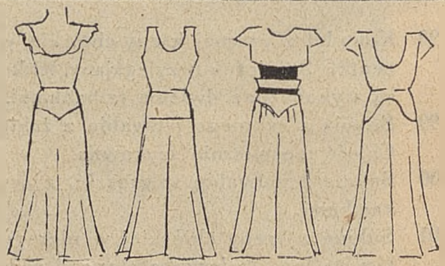
99 Suknia z czarnego jedwabiu z żakiecikiem białym w czarny wzór. Taki sam kapelusz. Całość niezmiernie szykowna.

100 Suknia z jedwabiu w groszki, z oryginalnym białym żabotem. Bolero z krótkiemi rękawkami.

101 Suknia z krepy chińskiej w nieregularne centki; żabot z żorżety białej, ozdobiony lekkim haftem. Pelerynka stanowi rodzaj okrycia.





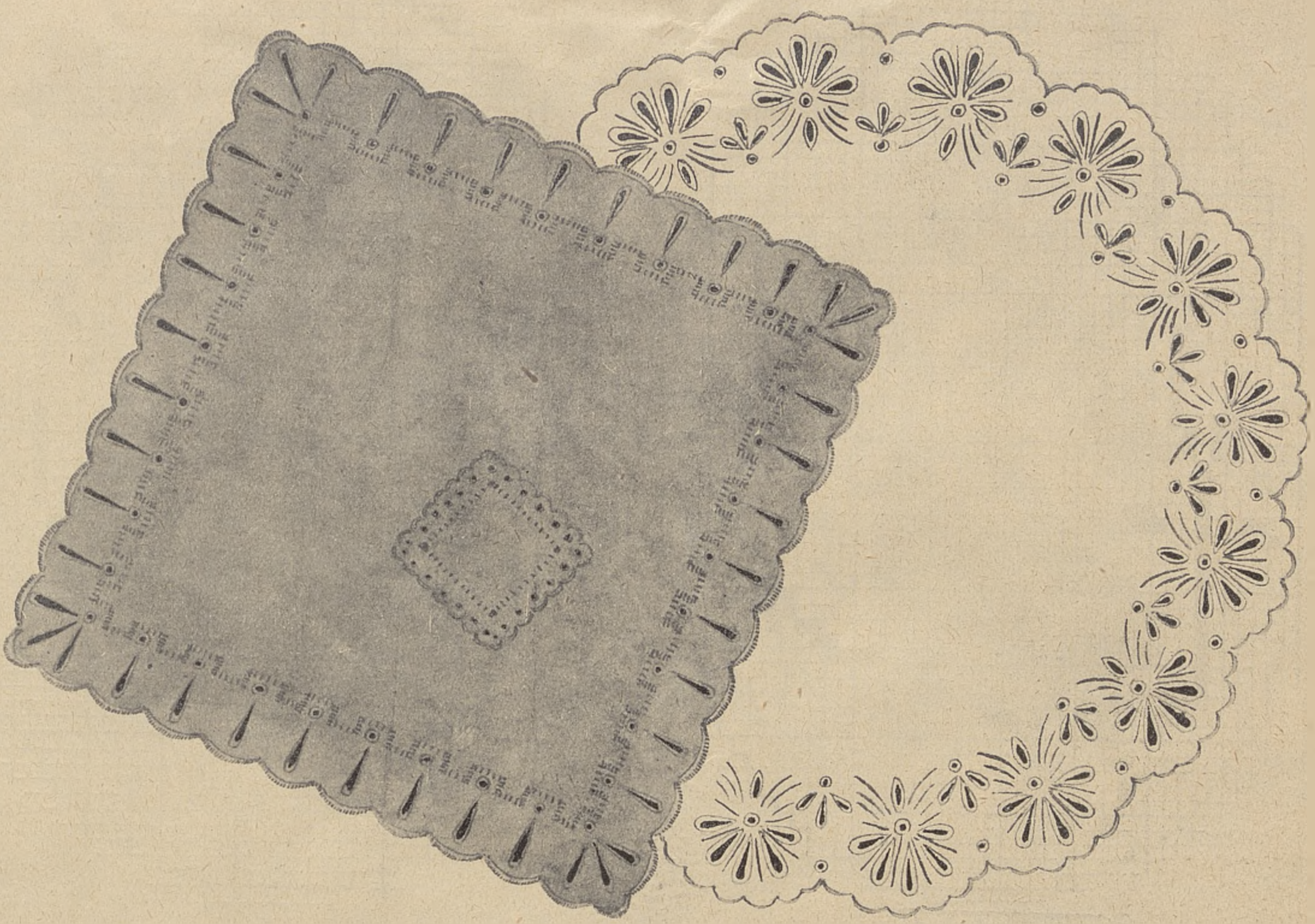


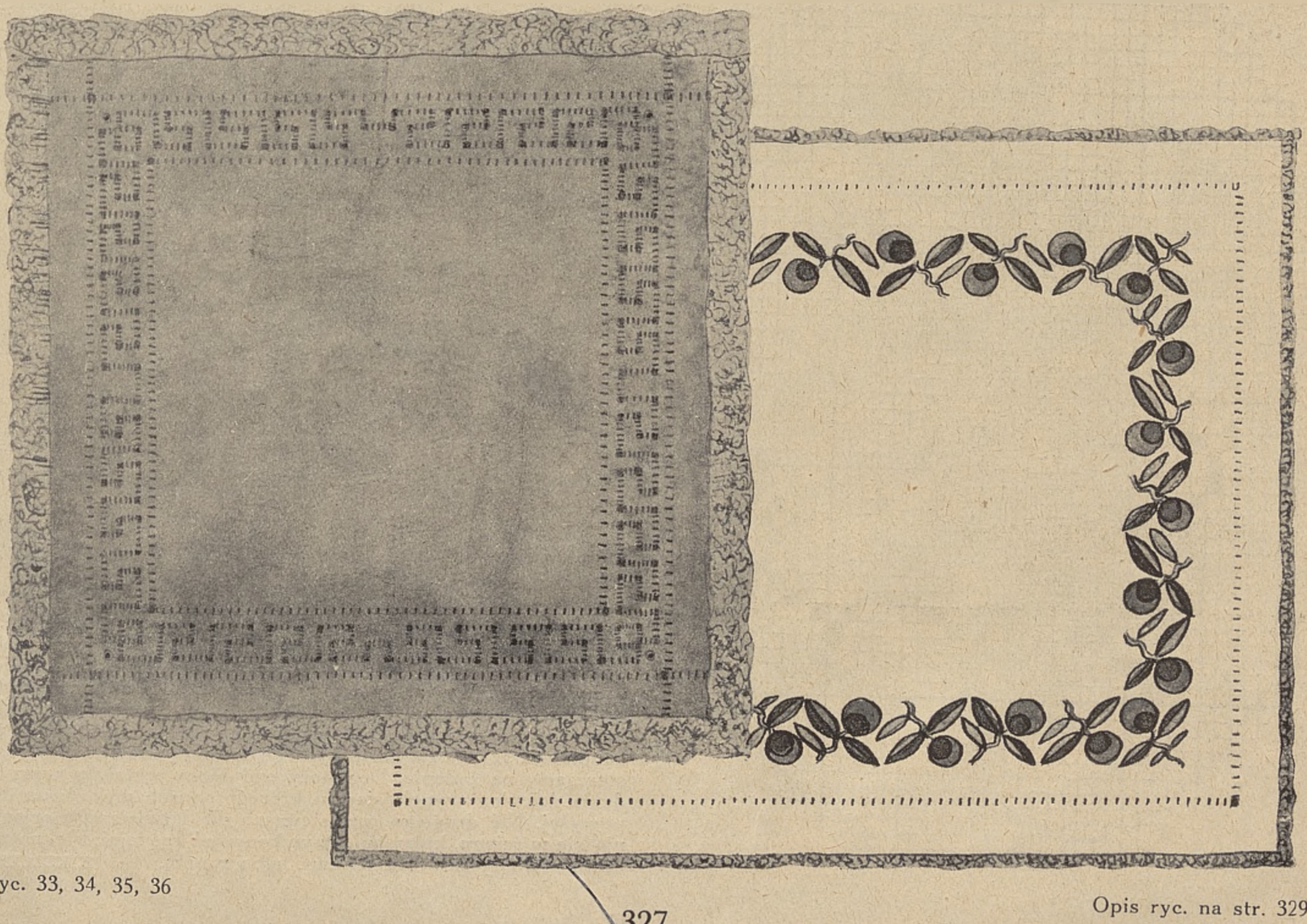
102 Pyżama odsłaniająca plecy. Na ramionach lekko falujące wolanciki. Szerokie, kloszowe spodnie.

103 Biała pyżama z ciekawą baskiną i bluzeczką ozdobioną szalem. Spodnie bardzo szerokie, pasek i duże guziki czarne.

104 Kwiecista pyżama w stylu „pirackim", z bolerkiem wdziewanem wprost na ciemny trykot kąpielowy.

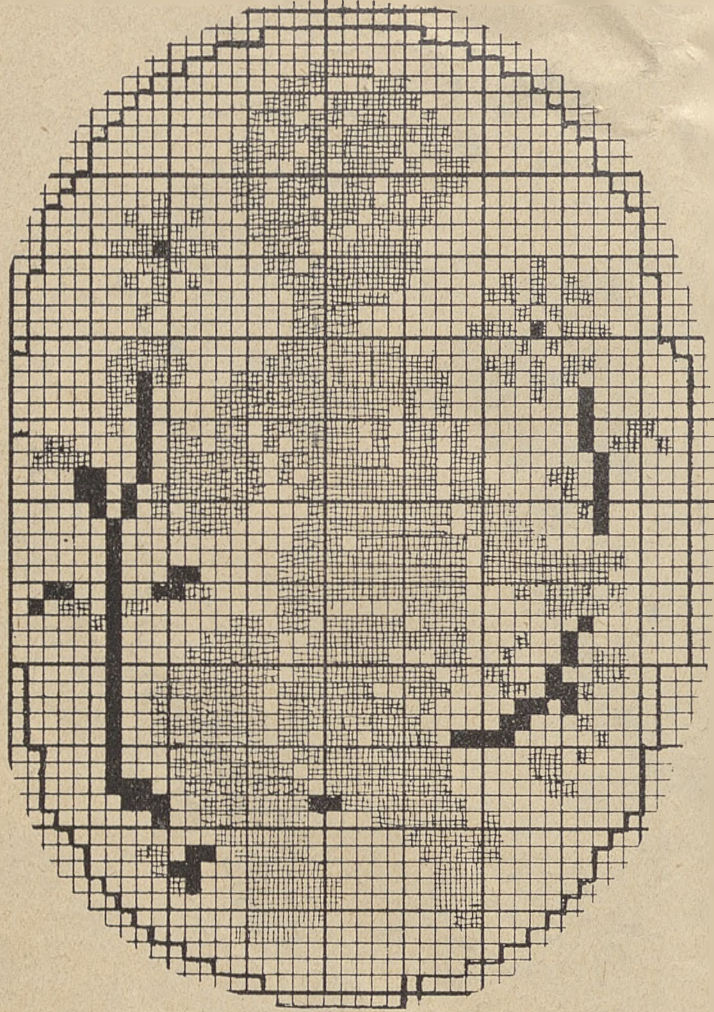
105 Jasna pyżama z ciemnym modnym haftem, łatwym do wykonania. Spodnie zapinane na biodrach. Bluzeczka osobno do wdziewania.

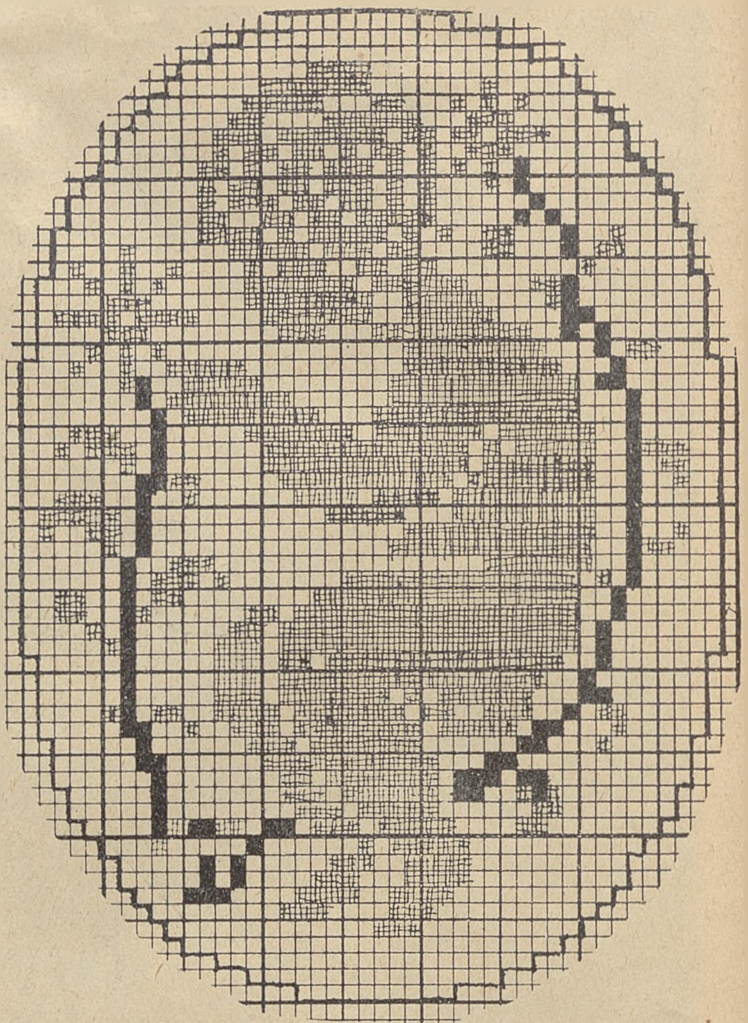


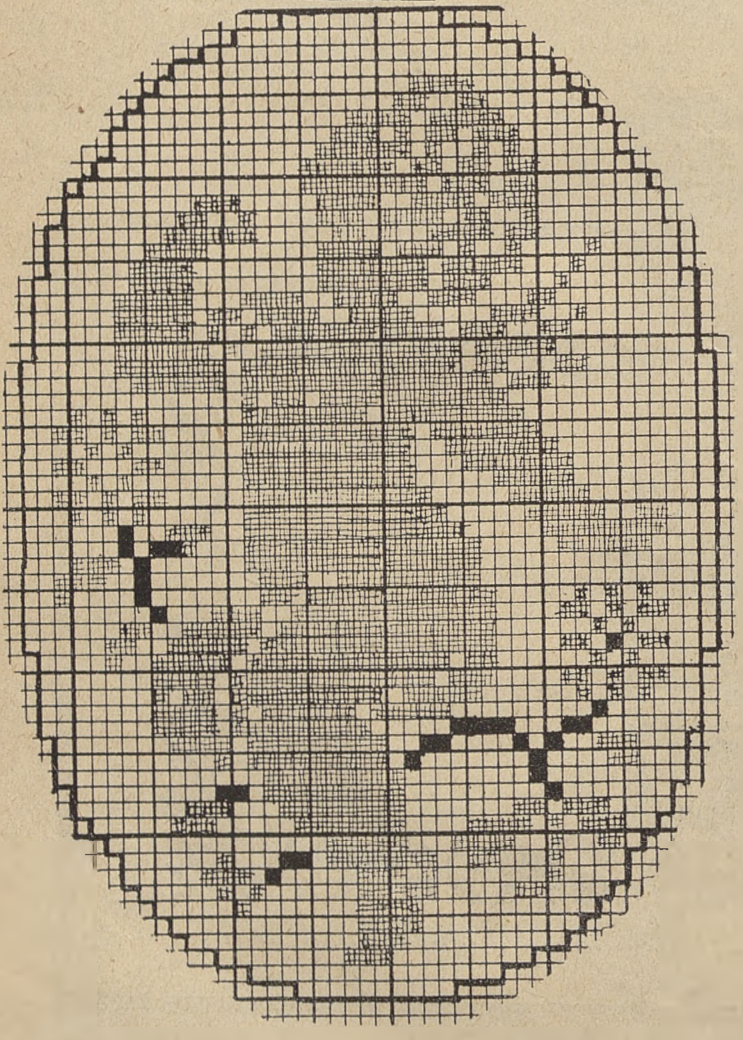


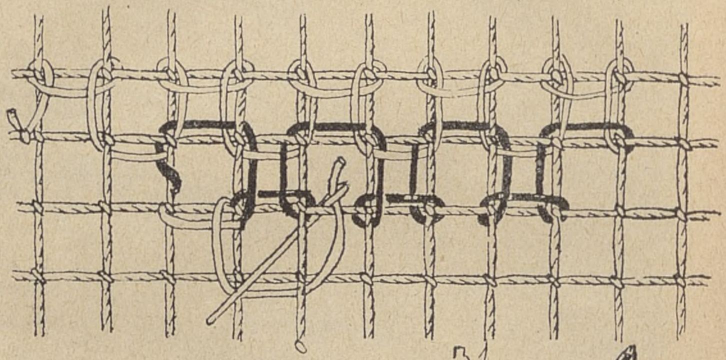
Ryc. 33, 34, 35, 36

Opis ryc. na str. 329







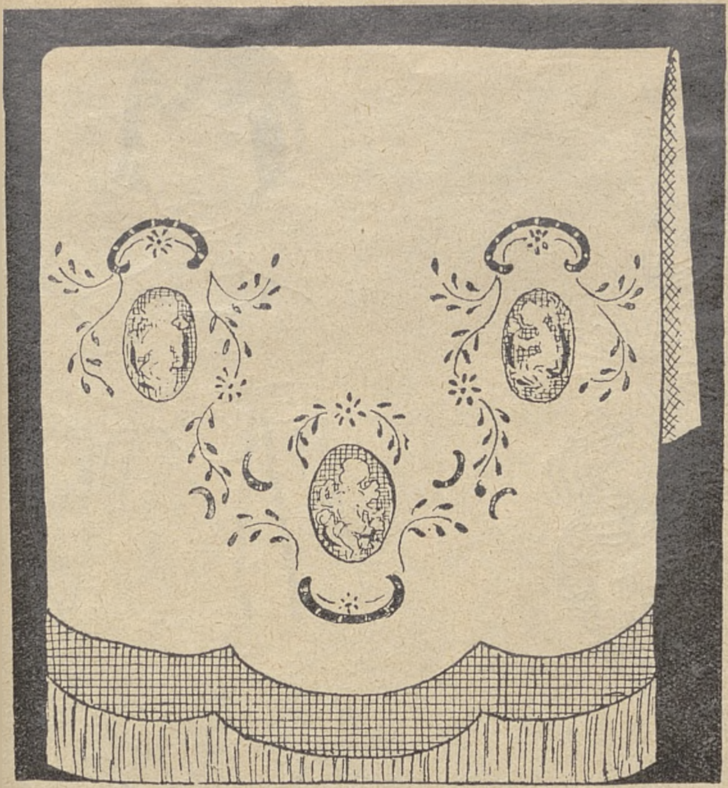




Bardzo pożądane przez panie są motywy z amoretkami. Dlatego podajemy dziś 3 owale stosowne do stór albo witrażek. Do tych ostatnich użyjemy siatki, której oczka mają po 3 milimetry w kwadracie. Wystarczy wtedy 1 motyw do jednej zazdrostki.

Do stór potrzebna siatka o oczkach po 4—5 mm w kwadracie. Zastosowanie wszystkich 3 owalów na storze widać obok na rysunku (str. 329). Wzór haftu, którego próbki podajemy powyżej, dostarczamy na żądanie. Dół story ozdobiony wstawką wszytą jedynie ściegiem wypełniającym, którego sposób wykonania dajemy powyżej. Nić drugiego rzędu ciemna dla łatwiejszego orjentowania się w ściegu, który należy wykonywać rzędami. Piękne zakończenie tworzy frendzla wiązana albo prosta.

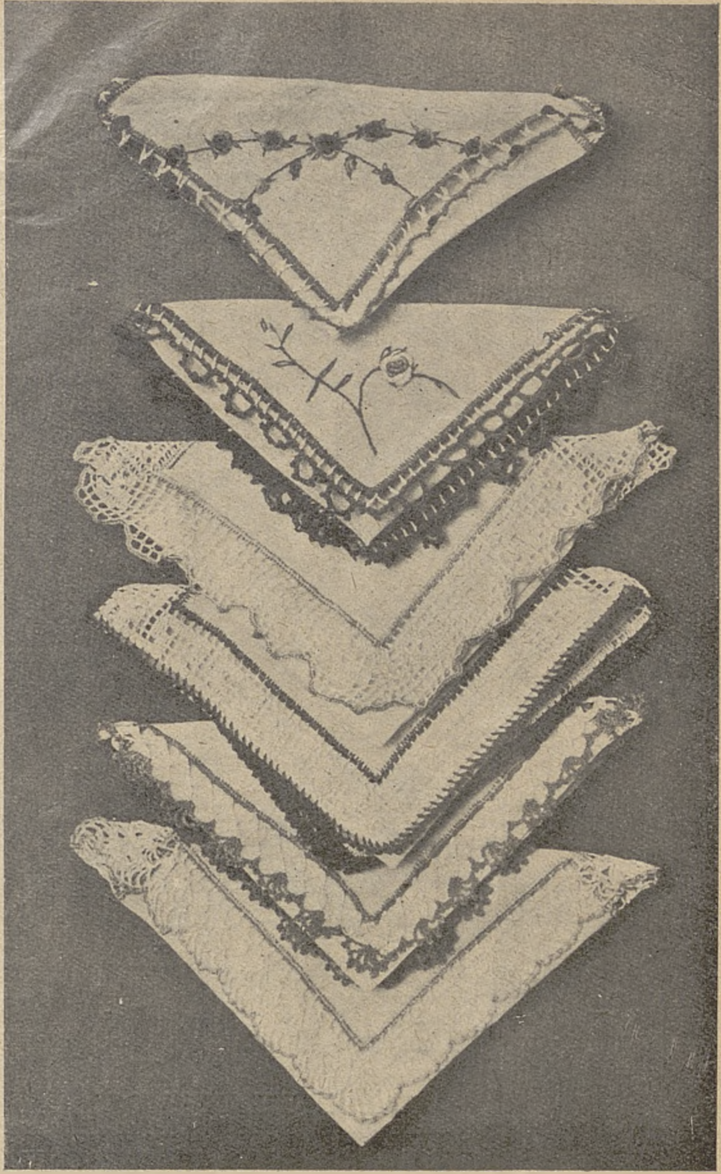
Z. KULCZYCKA



Rycina odnosząca się do robót siatkowych na str. 328

Ryc. 37 i 38. — Dwa przepiękne milieux, wykonane na cienkiem płótnie lub batyście haftem gipjurowym





Ryc. 39. — Wzory pięciu uroczych chusteczek w modnem obecnie barwnem wykonaniu. Brzegi wykończone szydełkowanemi koroneczkami z kolorowemi brzegami. Haft barwny wypukły.

NIEODZOWNE W KAŻDEM GOSPODARSTWIE SERWETY PODWIECZORKOWE

(Opis rycin na stronicy 327)

Ryc. 33. — Serweta z serwetką. Wymiar serwety 1·20 m. Wykonana na lnianem płótnie, ozdobiona haftem angielskim, mereżką, obdziergana bawełną DMC.

Ryc. 34. — Okrągła serweta podwieczorkowa o średnicy 1·10 m, z białego płótna, ozdobiona haftem angielskim i modnym ściegiem, obdziergana bawełną DMC.

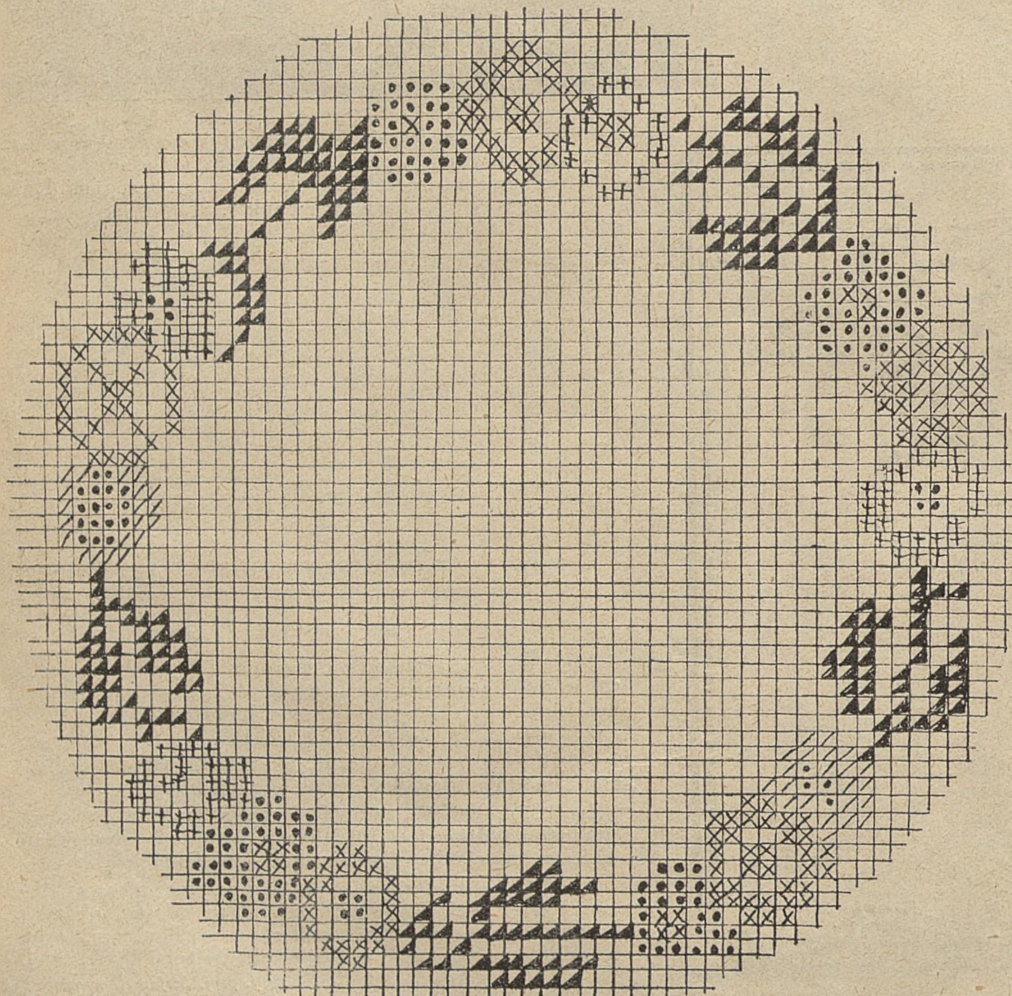
Ryc. 35. — Kwadratowa serweta podwieczorkowa z lnianego płótna szarego, bogato ozdobiona mereżkami i haftem angielskim, obrzeżona koronką klockową.

Ryc. 36. — Podłużna serweta podwieczorkowa, dowolnej wielkości, wykonana z białego płótna, obszyta koronką, przyozdobiona mereżką i kordonkiem, oraz niepodklejaną aplikacją w barwach: żółtej i bronzowej.

Proj. prof. Stefan Kacprowski







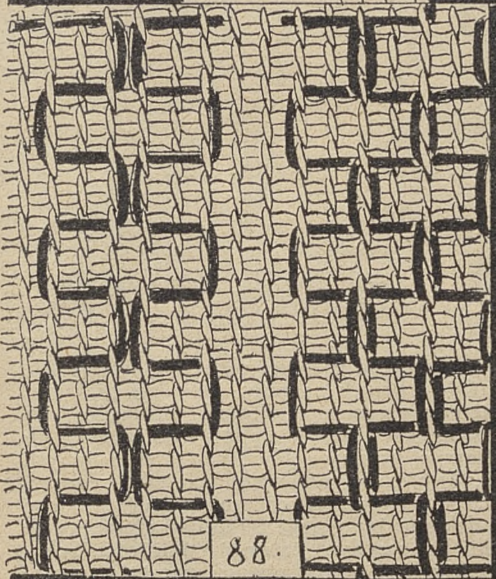
WIANUSZKI JAKO OZDOBA SUKIENEK, PODUSZEK I T. P.

Uroczo wyglądają sukienki dziecięce haftowane w wianuszki. Podajemy dwa wzory: jeden na łatwy haft gałązkowy, płaski, chwytany i węzełkowy; drugi na haft krzyżykowy, dziś bardzo modny. Barwy jedwabiu powinny być żywe np. różowe, niebieskie, żółte, lila i zielone. Motywy naturalnej wielkości.

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO





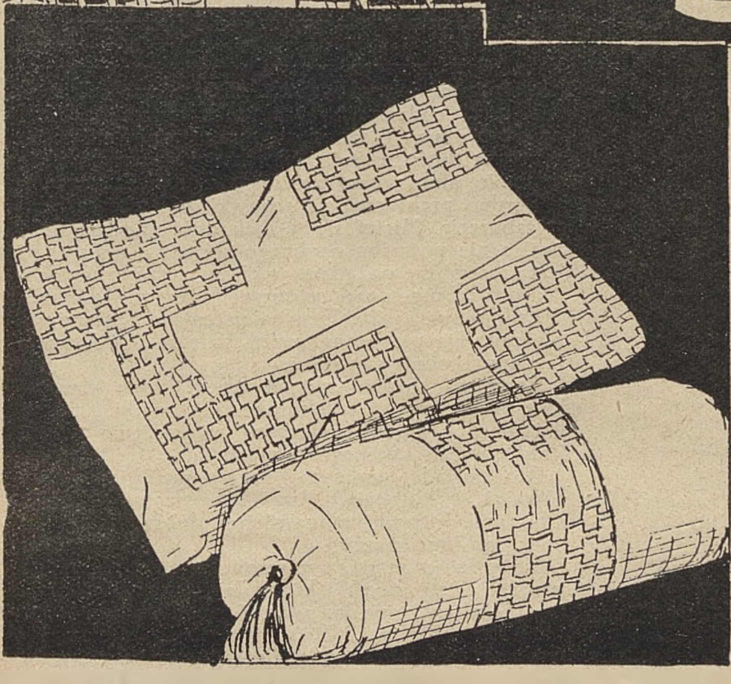


88.





89.

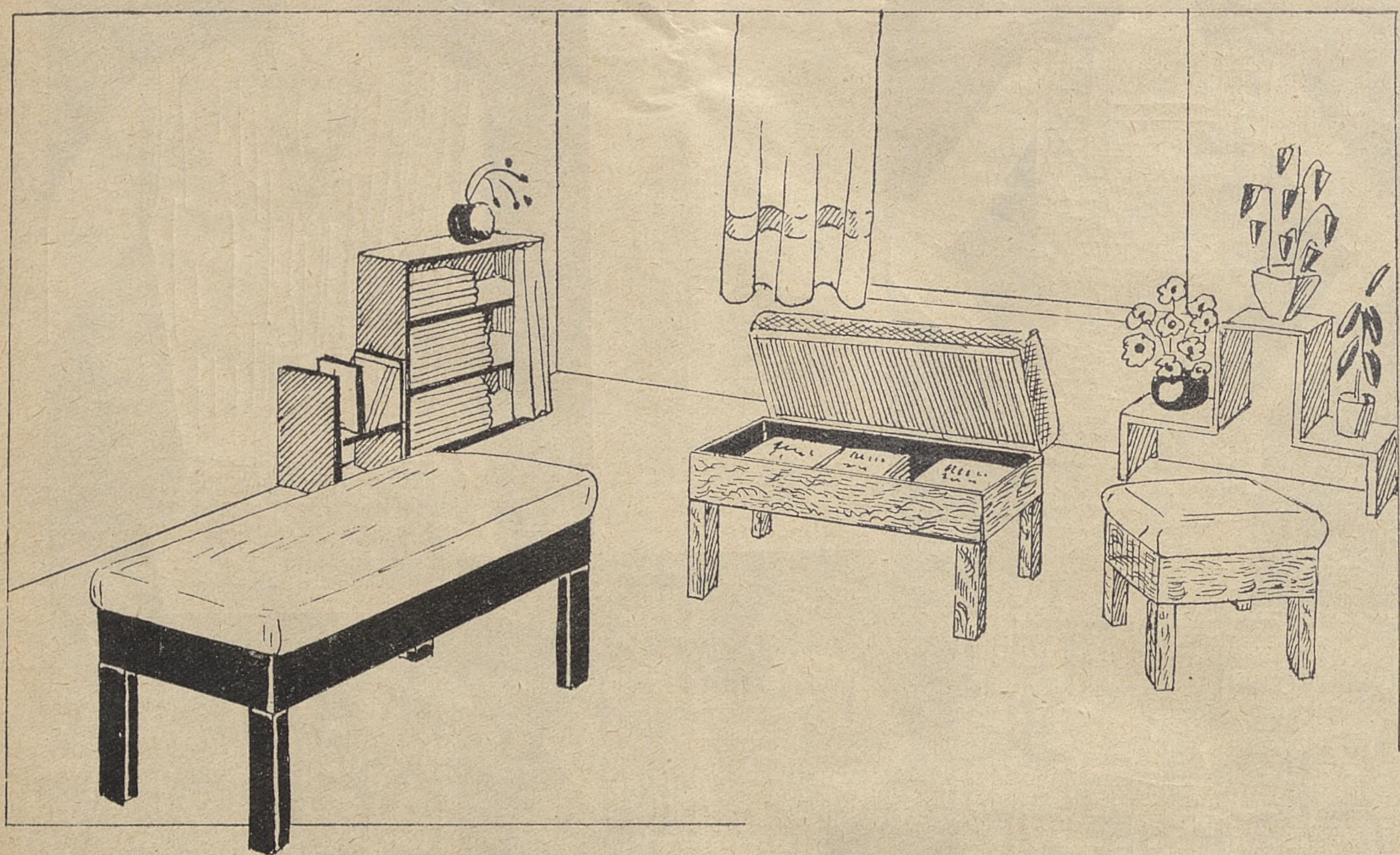


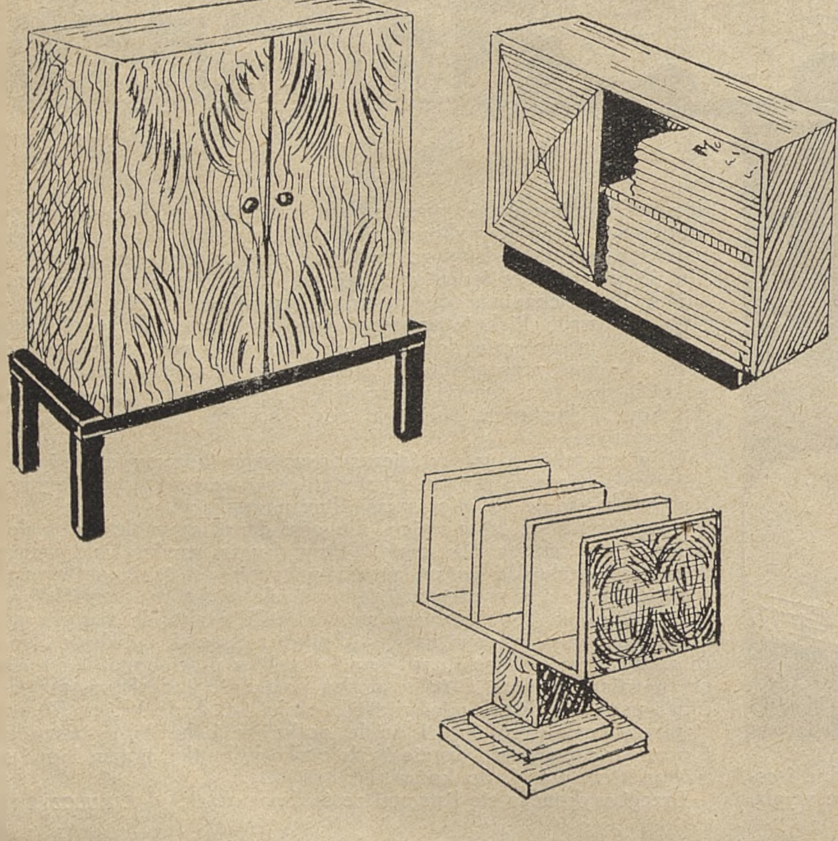
Wyszywanie na ściegu tunetańskim wciąż pozostaje modne i coraz nowe ściegi wymyśla się na ten cel. Bardzo efektownie wygląda zwykłe przewlekanie zygzakowate, szczególnie wykonane w dwu kolorach. Można je wykonać w dwojaki sposób, przy pierwszym przewleka się nitkę drugiego rzędu tuż obok pierwszego, przy drugim ściegi wchodzą jeden w drugi, jak widać z prawej strony rysunku. Przewlekanie można wykonać jedwabiem na tle z włóczki, albo naodwrót. Pięknie występuje na sweterach albo garderobie dziecięcej, ale równie dobrze zdobi poduszki włóczkowe, szczególnie lubiane przez panów, bo są miękkie i można „naprawdę" na nich spać bez obawy zniszczenia ich, co grozi ozdobnym poduszkom jedwabnym, służącym więcej celom dekoracyjnym jak praktycznym.

Miły jest także ażurowy ścieg stosowny na jumpery, szale i garderobę dziecięcą. Wykonanie jest bardzo łatwe i postępuje szybko. Robota ta nadaje się więc szczególnie na wakacje.

Rozpoczyna się łańcuszkiem długości danej części kroju, z dodaniem 3 oczek na obrócenie. Przy drugim rzędzie wkłówamy w czwarte oczko od końca łańcuszka i robimy 1 ścisłe oczko, następnie 5 oczek w powietrzu i jedno ścisłe oczko do oczka łańcuszka tuż obok. Dalej robimy znowu ścisłe oczko do następnego oczka łańcuszka, poczem następuje pikot z 5 oczek i t. d. do końca rzędu. Przy obróceniu robimy 5 oczek w powietrzu i 1 słupek raz nawijany między 2 ścisłe oczka, następnie 2 oczka w powietrzu i znowu 1 słupek między ścisłe oczka i t. d. do końca. W następnym rzędzie robimy 1 ścisłe oczko w 1 kratkę, następnie 5 oczek w powietrzu i drugie ścisłe oczko w kratkę, potem 1 oczko w powietrzu i t. d. do końca.

Brzegi wykończa się listwami ze ścisłych oczek. Z. KULCZYCKA





SCHOWEK NA NUTY

Odpowiadamy na pytanie jednej z Czytelniczek, jak urządzić schowek na nuty, żeby był praktyczny i estetyczny zarazem. Etażerki dawnego typu opatrzyły się, choć stosuje się je i dziś jeszcze, tylko w formie prostszej, bez galeryjek i innych „ozdób". Typ mebli nowoczesnych tak rzeczowy i prosty, pozbyty wszelkich tanich ozdób, a jego wartość dekoracyjna polega tylko na harmonji prostych linij bez zawiłych załamań i falistości. Schowek na nuty więc będzie również prosty a rzeczowy, t. zn. odpowiadający celowi i praktyczny.

Jakkolwiek i dziś używa się schowków otwartych, nieosłoniętych przed kurzem, radzilibyśmy nie stosować ich w domach, gdzie niema odkurzacza, gdyż codzienne mozolne odkurzanie zabiera za dużo czasu. Etażerki powinny być osłonięte firaneczką do zasuwania. Nie chroni ona wprawdzie zupełnie, ale zawsze częściowo umniejsza pracę.

Bardzo praktyczne są schowki w ławeczce albo w taburecie. Mieści się w nich dość znaczna ilość nut, a nie potrzeba osobnego sprzętu na nuty, co jest szczególnie pożądane w ciasnych mieszkaniach.

Nowoczesne szafki salonowe, stosowne do każdego pokoju, są idealnem miejscem na przechowanie nut. Dają ochronę przed kurzem i zadowalają najwybredniejszy smak.

Również bardzo sympatycznem rozwiązaniem kwestji jest sprzęt kombinowany z szafki i półki, dziś bardzo wzięty i tworzący uzupełnienie prawie każdego nowoczesnego urządzenia.

Kto posiada starożytne urządzenie nie będzie również w kłopocie. Prześliczne szafki „Boule", albo małe witrynki, mogą równie dobrze pomieścić nuty, jak inne rzeczy.

Nuty, z któremi są złączone chwile głębokich przeżyć estetycznych i które dają wrażenia silniejsze jak nawet niejedna wartościowa książka, które dla właścicielki są źródłem trwałych i niezapomnianych radości, powinny znaleźć godne pomieszczenie a nie poniewierać się rozrzucone po kątach, gdzie są wystawione na zanieczyszczenie, albo padają ofiarą amatorów nut cudzych. Z. KULCZYCKA

PAKOWANIE WALIZEK *

Oto czas wyjazdu na urlop lub wakacje. Cieszymy się tem ogromnie i radość byłaby niczem niezamącona, gdyby nie... pakowanie! O ile jednak panie dobrze tę czynność zorganizują, robota pójdzie prędko i łatwo, przy pakowaniu i przy wyjmowaniu rzeczy uniknie się zamieszania, nieporządku, straty czasu, no i złego humoru.

Nie wiem, czy wszystkie panie znają ogólnie przyjęte przepisy kolejowe, dotyczące bagażu ręcznego, i czy stosują się do nich; jedna osoba w przedziale może zająć miejsce swym bagażem ręcznym tylko nad i pod swojem miejscem, a waga tego bagażu w Polsce nie powinna przekraczać 25 kg. Stosowanie tego przepisu umożliwia przewóz ręcznego bagażu wszystkim osobom w przedziale i nie dopuszcza do zajmowania przez dwie, trzy osoby wszystkich miejsc, przeznaczonych na bagaże ręczne.

Trzeba dążyć do ograniczenia bagażu ręcznego do minimalnej ilości walizek, co wypada o tyle oszczędniej, że bagażowym płaci się od sztuki. Mała ilość pakunków ma również dobrą stronę ze względu na coraz częstszą konieczność wynoszenia samemu walizek z wagonu, bez żadnej „fachowej" pomocy, czy to z powodu bardzo krótkiego postoju pociągu, czy też, jak np za granicą, skutkiem bardzo nielicznych bagażowych na dworcach.

W wypadku większej podróży bierzemy z sobą kufry, które, oczywiście, oddajemy na bagaż. Bardzo jest wskazane ubezpieczenie wtedy bagażu, co wprawdzie podnosi nieco koszt podróży, ale zmniejsza obawę zaginięcia rzeczy. Koszt ubezpieczenia bagażu w podróży wynosi zł. 3,— od złotych 1.000 (wartości zadeklarowanej). Nie należy zbyt nisko ubezpieczać swych rzeczy, bo w razie kradzieży i konieczności zakupienia nowych, suma zwrócona przez towarzystwo ubezpieczeniowe nie wyrówna straty poniesionej i koniecznych wydatków. A ponieważ zbyt wysokie taksowanie używanych rzeczy jest również niepożądane, trzeba starać się o utrzymanie „złotego środka".

Przy pakowaniu musimy zdać sobie sprawę z tego, czy naszem dążeniem naczelnem jest szybki i łatwy dostęp w czasie podróży do przedmiotów zapakowanych (co zwłaszcza będzie miało miejsce przy podróżach dalszych), czy też chodzi nam o zmieszczenie w walizce jak najwięcej rzeczy.

W pierwszym przypadku niezmiernie wygodne są szufladki, przegródki i inne schowki, jak np. w tak zwanych amerykańskich kufrach i walizkach, umożliwiających nawet wieszanie w nich ubrań. Wnętrze ich bywa zazwyczaj obite materjałem; w wewnętrznych schowkach przymarszczonych i ściągniętych na gumkę umieszcza się chustki do nosa, miękkie męskie kołnierze, rękawiczki, przybory do szycia, a w większych przybory toaletowe i t. d. Innym sprzętem, zapewniającym wygodę w umieszczaniu i wynajdowaniu przedmiotów potrzebnych, są nesesery (pour ce qui est nécessaire); wnętrze ich bywa tak zaopatrzone we wszelkie przyrządy toaletowe, przedmioty do szycia i t. d., że po zapełnieniu „gniazd" zgóry przewidzianemi i dopasowanemi przedmiotami wkładamy tylko pyżamę lub koszulę nocną, jasiek i podróżną apteczkę. Bezsprzeczna wygoda i większa szybkość pakowania oraz wyjmowania przedmiotów każdego typu z przeznaczonych na nie futerałów czy pomieszczeń w kufrze, walizie czy neseserze jest okupiona gorszem wyzyskaniem miejsca, gdyż owe dogodne szufladki, przegródki i futerały marnują sporo miejsca; poza tem stanowią one dodatkowe obciążenie naszego bagażu.

Nie da się zaprzeczyć, że estetyka pokoju w hotelu lub pensjonacie zyskuje na ustawieniu na toalecie lub komodzie dobrze do-

Plan rzeczy spakowanych w walizce

Apteczka	Przybory do szycia	Przybory do mycia			Woda kolońska i perfuma		Bielizna
Pantofle bronzowe, wewnątrz pończochy popielate	Pantofle zamszowe, pończochy bronzowe		Grzebienie, szczotki, lusterko	Pantofle ranne	Rękawiczki		

Dolna warstwa

1. Suknia wełniana
2. Kostjum
3. Suknia z surowego jedwabiu
4. Suknia różowa jedwabna
5. Bluzka
6. Bluzka
7. Beret
8. Kołnierzyki

Górna warstwa

* Przedruk z czasopisma: „Organizacja Gospodarstwa Domowego", nr 6, r. 1931.

branych do siebie flakonów, puzderek, szczotek, grzebieni i t. p. Ale za te wszystkie wygody i miłe wrażenia płaci się koniecznością wzięcia jeszcze jednej walizki! Jeśli więc specjalnie chodzi o jak najlepsze wyzyskanie miejsca, trzeba się wyrzec tych miłych gracików i ograniczyć do przedmiotów niezbędnych.

Jednak i w pakowaniu oszczędnem co do miejsca będzie parę futerałów koniecznych: a więc do przyborów do mycia — woreczek gumowy, do szczotek, grzebieni i szpilek — oddzielny sachet, do szycia — płócienny lub skórzany miękki zawijany sachet. Flakony z wodą kolońską, perfumami i t. d. muszą być z grubego szkła, bardzo szczelnie zakorkowane i umieszczone w pokrowcu, bowiem przy ruchu pociągu, auta lub koni, szkło kanciaste jest narażone na stłuczenie.

Do butelek z atramentem do wiecznego pióra służą doskonałe pudełka aluminjowe i inne z pokrywką zakręcaną. Takie lekarstwa z apteczki podręcznej jak jodyna i t. p., najlepiej także umieszczać w podobnych pudełkach; poza lekarstwami specjalnemi, apteczka powinna zawierać aspirynę, termometr, bandaż, watę, jodynę, plasterek angielski, proszek na ból głowy.

Rękawiczki najlepiej zawijać w bibułkę. Pończochy służą często do wypełniania miejsc pozostawionych przez prawidła. Obuwie umieszczamy w pokrowcu, którego fason i sposób zrobienia były szczegółowo omówione w numerze 10 „Świata Kobiecego" z 15 maja b. r.

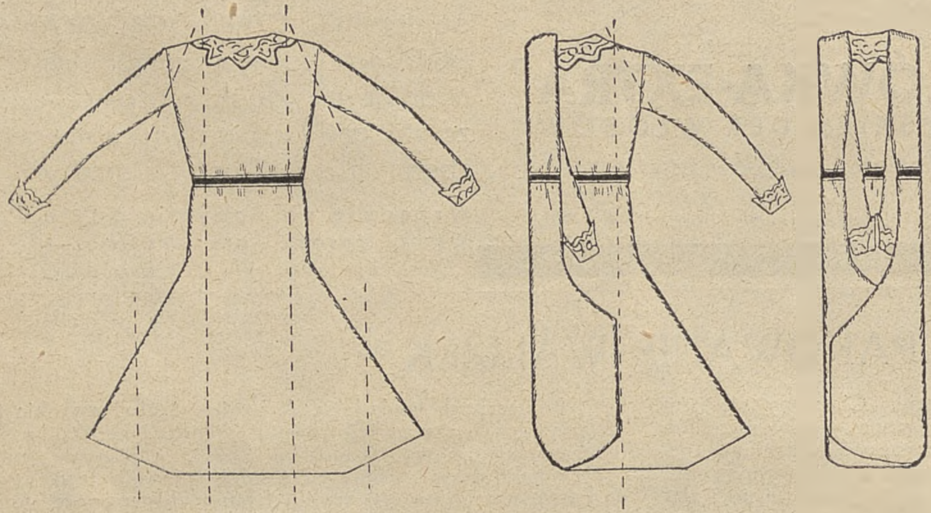
Miękki kapelusz sportowy, który wystarczy na wycieczkę w kraju lub za granicą, wkłada się do walizki, wypchawszy go np. pończochami. Panie, jadące bawić się, muszą mieć pudełko do kapeluszy (żółte łubiane, dermatoidowe i t. p.).

Nie wszystkie walizki szczelnie się zamykają, nie wszystkie są obite materjałem, a więc trzeba je wyłożyć ręcznikiem albo specjalnie do tego przeznaczonym materjałem, którym następnie przykrywamy rzeczy przed zamknięciem walizki.

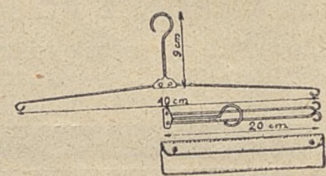
Celem łatwego wyjmowania przedmiotów z walizek w czasie podróży, dobrze jest zrobić plan ułożonych rzeczy i umieścić go wewnątrz walizki na przykryciu.

Na spód walizki kładziemy obuwie, bieliznę, przybory do mycia (z wyjątkiem mydła i ręcznika, które muszą być dostępne w każdej chwili), szczotki i t. d. Przy pakowaniu spodniej warstwy trzeba rzeczy układać bardzo ciasno, systematycznie, porządnie i zawsze zachowywać równą powierzchnię. Kolejność układania ubrań jest taka: najpierw garnitury męskie, następnie wełniane suknie, kostjum, potem lżejsze suknie, wstążki i kołnierze od sukien. Przy pakowaniu ubrań trzeba je układać naprzemian, t. j. tak, ażeby np. kołnierz jednej sukni wypadał z prawej strony walizki, a dół z lewej, a następnej sukni odwrotnie, kołnierz z lewej strony, a dół sukni z prawej strony walizki; wtedy rzeczy będą spakowane równo. Dzięki swym małym rozmiarom ubrania i bielizna dziecinne mogą służyć doskonale do wypełnienia w walizce wolnych miejsc.

Mimo że często w hotelach, u krewnych lub znajomych, szafy są zaopatrzone w wieszaki, jednak zawsze jest ich za mało, a więc dobrze jest mieć choć 4 sztuki składanych wieszaków, które się chowa w odpowiednim pokrowcu. Tego rodzaju wieszaki są wygodne w podróży i mało zajmują miejsca. Niestety, dotychczas w Polsce nie można ich kupić, natomiast w Paryżu lub Wiedniu kosztują grosze (sztuka 80 gr.).



Wzór składania sukni



Podróżny wieszak i składany pokrowiec

Osobista bielizna pań zajmuje mało miejsca w walizce, szczególnie teraz, gdy rozpowszechniona jest na czas podróży bielizna z jedwabnego trykotu, którą wieczorem same panie mogą uprać np. w Luxie i włożyć nazajutrz bez prasowania, czego trykot nie potrzebuje.

Używanie papieru, a zwłaszcza gazet do zawijania przedmiotów jest niepraktyczne, niehigjeniczne i w wysokim stopniu nieestetyczne.

By niczego nie zapomnieć, dobrze jest zapisywać na kartce wszystkie przedmioty, które chcemy zabrać w podróż, oznaczając np. krzyżykiem przedmioty, które trzeba kupić lub odebrać z prani, od szewca, krawca i t. p. W ciągu paru dni przed wyjazdem odbieramy owe przedmioty i każdy z nich odkładamy odrazu na półkę, do szuflady lub do przygotowanej już walizki, by wszystkie były zebrane w jednem miejscu. Oczywiście stan walizki został przez nas sprawdzony, uszkodzenia naprawione, klucze dołączone. W przeddzień pakowania sprawdzamy spis rzeczy, które należało kupić lub odebrać, żeby mieć jeszcze czas na uzupełnienie wyprawy podróżnej.

Przed samem przystąpieniem do pakowania wyjmujemy wszystkie przedmioty, które zabrać z sobą chcemy, a więc bieliznę, odzież, obuwie, przybory do szycia, do pisania, do mycia, książki, drobiazgi i t. d., sprawdzając je według spisu, żeby przed rozpoczęciem pakowania wszystko było wyjęte ze zwykłych pomieszczeń i znajdowało się w pobliżu.

A teraz przystąpimy do składania poszczególnych ubrań. Każda suknia i każde ubranie męskie: 1) rozkładamy plecami do góry na stole albo na łóżku i wyrównywamy; następnie w linjach składania dajemy białą bibułkę (co jest konieczne do ubrań jedwabnych, cienkich, ale do wełny zbyteczne); 2) najpierw składamy rękaw, następnie szpic klosza, później cały bok; tak samo postępujemy z drugą stroną ubrania; 3) dajemy bibułkę w zgięciu i składamy, zob. fig. Podkreślam, że szerokość i długość składanego ubrania stosujemy do wymiaru walizki. Walizki małe, wymagające wielokrotnego składania, nie nadają się do ubrań.

Pokrowce na walizki są bardzo praktyczne, ale walizki wyglądają w nich mniej elegancko i są upośledzone, gdyż boy hotelowy nigdy nie przykleja etykiet na pokrowcach, a przecież przyjemnie jest mieć kilka (nie za dużo) naklejek, przypominających różne wyprawy. Pokrowce na walizki są wtedy niezbędne, gdy jeździ się dużo końmi lub samochodem, a także wówczas, gdy walizki są schowane i nieużywane; mniej się wtedy kurzą i nie płowieją.

Na każdej walizce powinien być umieszczony bilet wizytowy, oprawny w skórę, co szczególnie jest potrzebne w czasie zbiorowych wycieczek.

GABRJELA KWAPISZEWSKA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

PRĘDKIE OBIADY NA LATO. — W lecie powinna pani domu unikać długiego pobytu w kuchni, tem bardziej, że okresowo jest zmuszona do tego podczas sezonu smażenia konfitur. To też w dni wolne od tego zajęcia postara się wybrać takie potrawy, które bądźto dają się szybko przyrządzić, bądźto nie wymagają bezustannego dozoru. Na wieczerze zaś przygotowuje potrawy przy obiedzie i ograniczy się możliwie do zimnych dań, które są bardziej pożądane w dni upalne od ciepłych potraw.

Przypominamy o dogotowywaczu, który przedstawiliśmy już dawniej na tem miejscu. Oszczędza on nietylko opał, ale także zmniejsza trud i pozwala na zajęcie się czemś innem, podczas gdy potrawy dogotowywują się same. Na opale można też oszczędzić, używając naczynia o kilku kondygnacjach, które nadają się szczególnie na gaz. Potrawę podgotowaną w naczyniu stojącem bezpośrednio na gazie można później przenieść wyżej i tak zmieniać, aż wszystkie potrawy powoli dojdą do odpowiedniej miękkości, przyczem potrawę wymagającą najdłuższego gotowania stawiamy najpóźniej na gazie, gdyż podczas gdy ona się gotuje, inne na wyższych kondygnacjach dochodzą powoli. W ten sposób można ugotować obiad z kilku dań na jednym płomieniu gazowym.

Nadzwyczajną pomocą w oszczędzaniu opału i czasu jest garnek sporządzony na zasadzie Papina. W nim gotuje się potrawy pod ciśnieniem, przyczem miękną w bardzo krótkim przeciągu czasu, tak np. ziemniaki za 3—5 minut od chwili zawrzenia. Ale co najważniejsze — gwizdawka automatyczna oznajmia, kiedy potrawa jest gotowa. Tak więc może pani siedzieć spokojnie w pokoju, a obiad zgotuje się sam. Wynalazek ten jest szczególnie pożyteczny dla pań pracujących zawodowo a przyrządzających swe posiłki własnoręcznie. Garnki te są dość drogie, ale jednorazowy wydatek amortyzuje się szybko wskutek wielkiej oszczędności opału, a zaznaczyć należy, że garnki te są bardzo trwałe.

W lecie wystarczyłoby podawać na obiady jedną ciepłą potrawę, resztę jadłospisu zaś zestawić z dań surowych jak chłodniki z surowych owoców oraz różne sałatki, które można bardzo urozmaicić. W porze ciepłej potrzebujemy mniej tłuszczów i węglowodanów, toteż unikamy wieprzowiny, wędlin oraz smalcu, a spożywamy mięsa chude oraz świeże masło i oliwę.

SZYBKIE DANIA MIĘSNE. — Nie podajemy tu tak powszechnie znanych przepisów jak kotlety, sznycelki i t. p., tylko potrawy mniej znane.

BITE ZRAZY NADZIANE GRZYBKAMI. — Przygotować zrazy jak zwyczajnie i nadziać grzybkami przyrządzonemi na gęsto; zwinąć i dusić. Gdy miękkie, zrumienić i zaprawić śmietaną.

SZNYCELKI NADZIANE GRZYBKAMI. — Przyrządzić masę mięsną jak na sznycle, t. j. zmielone mięso, namoczoną i wyciśniętą bułkę, jajko, sól, pieprz i cebula. Formować małe ale dość grube sznycelki i nadziać je grzybkami, pokrajanemi w dość duże kawałki i raz zagotowanemi. Maczać w jajku i bułeczce i smażyć na wolnym ogniu.

BUDYŃ Z BIFSZTYKÓW I KARTOFLI. — Ubić cienkie bifsztyki, posolić i popieprzyć. Obrane kartofle pokrajać w plasterki niezbyt cienkie i wyłożyć niemi wysmarowaną formę. Na to kłaść plasterki mięsa i tak naprzemian, aż forma się napełni a kartofle utworzą ostatnią warstwę. Całość zalać buljonem (może być Maggi) albo śmietaną i piec, ułożywszy na wierzchu plasterki masła.

SZNYCELKI CIELĘCE W ŚMIETANIE. — Posiekać wyżyłowaną cielęcinę, dodać odrobinę słoniny pokrajanej w kostkę, namoczoną i wyciśniętą bułkę, żółtko, soli i pieprzu i formować sznycelki przy pomocy tartej bułeczki. Usmażyć na maśle, gdy rumiane, sos popudrować mąką, dodać posiekanej pietruszki oraz śmietany, a gdy zgęstnieje, podać z jarzyną albo sałatą i kartoflami.

Do szybkich dań mięsnych należy także POLĘDWICA WOŁOWA. Niełatwo jest utrafić, żeby była miękka i lekko różowa wewnątrz, a jednak nie wysuszona ani zbyt surowa. Doświadczona gospodyni wypróbowała następujący sposób: Ułożyć starannie ubitą polędwicę w brytwannie, podlać ½ l wody, powierzchu zaś obłożyć plasterkami masła. Wsunąć do rury i piec 25 minut, posolić pod koniec, poczem powinna być w sam raz miękka.

NADZIEWANY KALAFJOR. — Piękną dużą różę jędrną i zwartą ugotować jak zwykle w słonej wodzie. Jednocześnie dusić na maśle z cebulą drobno pokrajane grzybki. Po osączeniu wyciąć chochlą albo szklanką dół w pośrodku róży i nadziać grzybkami zaprawionemi mąką i śmietaną, całość zaś polać masłem ze zrumienioną bułeczką i obłożyć opiekankami z mielonego mięsa oraz kartofelkami. Półmisek przedstawia widok nader ponętny. Z odwaru kalafjora i jego ośrodka przyrządzimy nazajutrz doskonałą zupę.

SAŁATA Z JARZYN. — Ugotować rozmaite jarzyny, jak kalafjor, marchewkę, groszek, fasolkę szparagową oraz kilka kalarepek jednakowej wielkości. Pokrajać wszystko w zgrabne kawałeczki, kalafjor podzielić na różyczki, kalarepki zaś wydrążyć ostrożnie. Pokropić wszystko sokiem cytrynowym, kalarepki natomiast nadziać posiekanem mięsem ugotowanem (mogą być resztki). Gdy jarzyny przejdą sokiem cytrynowym, polać je majonezem i ustawić na nich nadziane kalarepki również przybrane czapeczką z majonezu. Z tartinkami doskonałe danie na kolację.

KOMUNIKATY. — Instytut Gospodarstwa Domowego nadał cechę Instytutu dla:

1. „Mydła Eryk A. Kołłontay z Pralką". Wytwórca: „Fabryka Chemiczna Eryk A. Kołłontay", Katowice-Brynów, ul. Brynowska 27. Cena jednego kawałka wynosi zł. 2,10—2,20 za kilogram; sprzedawane jest w handlu w kawałkach o wadze 200, 225, 500, 800, 1.000, 1200, 2.000 gr. Mydło „Kołłontay z Pralką" nie drażni skóry rąk przy praniu i może być zastosowane do prania artykułów wełnianych i jedwabnych — nie zawiera bowiem zupełnie wolnego ługu.

2. „Mydła Zwyczajnego do prania Społem". — Wytwórca: Związek Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej", Warszawa, ul. Grażyny 13. Cena jednego kawałka o wadze przybliżonej 1 kg, zł. 2,00 do 2,20, sprzedawane jest w handlu w kawałkach o wadze przybliżonej 200, 400, 1.000 gr. Mydło „Społem" nie drażni skóry rąk przy praniu i może być zastosowane do prania artykułów wełnianych i jedwabnych — nie zawiera bowiem wolnego ługu.

W nadchodzącym obecnie okresie upałów sprawia usunięcie piegów dużo trosk. Wśród licznych w tym celu zachwalanych środków znajdują specjalne uwzględnienie i wyróżnienie oryginalne preparaty aptekarza Leschnitzera, których skład chemiczny, jak wynika z opisywanych dodatnich rezultatów, zdaje się być nader szczęśliwym. Szybkie i nieszkodliwe działanie tychże spotkało się z wielu stron z słowami uznania i pochwały.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PANI HANNA W. — Owszem, możemy polecić Pani wytworny pensjonat polski na pobyt w Paryżu. — Jest pięknie położony w ogrodzie, przy lasku Bulońskim, zatem w najelegantszej dzielnicy. Komfort nowoczesny, wykwintna kuchnia polsko-francuska, a właściciele Polacy, pełni uprzejmości, kultury i zalet towarzyskich. Adres: Dworek Polski, Paris XVI, 71 bis, rue de L'Assomption.

KINO. — Adres Konrada Veidta: Berlin S. W. 68, Kochstrasse 6, Atelier Ufa. — Po adresy gwiazd filmowych obojga płci najlepiej zgłaszać się do czasopism filmowych.

JANINA I. — Rękawiczki fantazyjne muszą być utrzymane w bardzo spokojnym tonie, ażeby mogły robić wytworne wrażenie. Stebny i inkrustacje „ton sur ton", nikłe, delikatne. Zakładeczki cienkie jak nitka, w różnych kierunkach: ukośne, prostopadłe, poprzeczne, w kwadrat. Guziki naszywane zboku, pokryte materjałem rękawiczki.

MŁODA MATKA. — W nrze 15 „Świata Kobiecego" z 1 sierpnia podane będą w „Kąciku praktycznym" modele garderoby dla przyszłych matek, oraz niezbędne objaśnienia. Kroje można dostać do wszystkich modeli, jakie się w „Kąciku" ukazują.

CO ROBIĆ. — Nie opalać się rozmyślnie, skoro cera jest tak delikatna i wrażliwa. Opalanie się nie jest już bezwzględnym nakazem mody, a nawet wówczas gdy nim było, nie obowiązywało kobiet rozsądnie myślących. Niech więc Pani nie nadużywa kąpieli słonecznych i pozwoli słońcu powoli, stopniowo działać na skórę.

Rok rocznie

bardzo wiele ludzi stale dostaje, zwłaszcza na wiosnę, kataru, niektórzy uważają nawet katar za cierpienie, którego nie można uniknąć, lecz które jest naogół niewinne. Jakże często jednak z takiego błahego napozór zaziębienia powstaje bardzo poważna choroba. Z tego względu wskazanem jest, aby chronić się przed zaziębieniem i jego smutnemi czasem skutkami. Zaziębienia można z pewnością uniknąć przez stosowanie pastylek Panflaviny, które należy od czasu do czasu powoli rozpuszczać w ustach. Pastylki Panflaviny odkażają jamę ustną i gardło i są niezbędne dla każdego, kto dba o swoje zdrowie. W przeciwieństwie do innych podobnych środków, pastylki Panflaviny wyróżniają się przyjemnym smakiem, dzięki czemu zarówno dorośli jak i dzieci chętnie zażywają ten cenny środek zapobiegawczy. Pastylki Panflaviny są do nabycia we wszystkich aptekach.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

ZAKOPANE

CAŁOROCZNE UZDROWISKO I JEDYNA W POLSCE WYSOKOGÓRSKA STACJA KLIMATYCZNA

Zakopane jest bezsprzecznie jedną z najpopularniejszych miejscowości klimatycznych w Polsce. Słyszeli o niem niemal wszyscy — zdawałoby się nawet, że niema już ludzi w Polsce, którzyby tu pod Giewontem nie łowili w zmęczone płuca balsamicznych woni powietrza tatrzańskiego. Tak dobrze jednak jeszcze nie jest. Tych którzy tu nie byli, liczyć możemy jeszcze nie na dziesiątki, a setki tysięcy i tym w porze, gdy zaczynamy myśleć o letnich wyjazdach, należy powiedzieć o tej szeroko rozsławionej miejscowości.

Zakopane jest przedewszystkiem jedyną w Polsce stacją uzdrowiskową o charakterze wysokogórskim, o klimacie alpejskim. — Wzniesione od 900 do 1.000 metrów nad poziom morza, przytulone do stóp łańcucha tatrzańskiego, posiada wszystkie te walory lecznicze jakie posiadają miejscowości alpejskie. Rozbudowane szeroko, luksusowe pierwszorzędne hotele, jak reprezentacyjny Hotel Bristol, pierwszorzędne pensjonaty, sanatorja i wille od najbardziej komfortowych, do najskromniejszych, pozwala na korzystanie z niego wszystkim, a więc i tym, którzy z każdym groszem liczyć się muszą, jak i tym, dla których tysiąc mniej lub więcej nie stanowi różnicy. Rozplanowanie ulic i will, pozwala też na urządzenie się według własnego widzimisię. Kto chce bawić się i używać życia „wielkomiejskiego", lokuje się w centrum — kto chce i pragnie ciszy życia wiejskiego, z jego sielankowością, umyka na peryferje — na różne Skibówki, Krzeptówki, Tatary, Buńdówki.

O warunkach klimatycznych Zakopanego i całego podtatrza rozpisywać się szeroko nie będziemy. Sława Zakopanego, jako stacji klimatycznej, w której się leczy przedewszystkiem wszystkie schorzenia dróg oddechowych i płuc, w której rozprężone, czy naprężone nerwy wracają do normalnego stanu — jest dostatecznie znana. Istniejące na terenie Zakopanego liczne sanatorja i domy zdrowia, jak Sanatorjum Zw. Nauczycieli Szkół Powszechnych, Sanatorjum P. Czerwonego Krzyża, Sanatorjum Wojskowe, Domy zdrowia Bratniej Pomocy i „Odrodzenia", Domy zdrowia — dwa policyjne, pocztowców, różnych oddziałów Kas Chorych, Sanatorjum dziecięce na Bystrem i t. d., są najlepszem świadectwem wartości leczniczych Zakopanego.

Ważnem jest w życiu leczenie, ale o ileż ważniejszem jest zapobieganie chorobie — profilaktyka. W ciężkich warunkach pracy po miastach narażeni są wszyscy na zgubne następstwa pracy w zadymionych fabrycznych ośrodkach, ciasnych biurach i t. d. Jak w życiu domowem przewietrzamy nasze mieszkania, tak w życiu prywatnem człowieka należy przynajmniej raz do roku przewietrzyć gruntownie cały organizm. Czynimy to zwykle w porze letniej, w okresie wakacyjnym. Składa się na to wiele przyczyn, powszechnie znanych.

W roku bieżącym, w ciężkich warunkach gospodarczych, wypoczynek wakacyjny jest tembardziej wskazany, ile że nerwy nasze znajdują się w stanie nienormalnym.

Dokąd, zatem wyjechać, jak nie do Zakopanego. W przeczystem jego powietrzu, pławiąc się w potokach promieni słonecznych, łowiąc w zmęczone płuca balsamiczne wonie lasów świerkowych, znajdą tu wszyscy odpoczynek i ukojenie nerwów. Zakopane jest przy tem wszystkiem bezsprzecznie najtańszą miejscowością tego rodzaju w Polsce. Już za jakieś 10 złotych (niejednokrotnie jeszcze taniej) można otrzymać solidne utrzymanie w pensjonacie. Prowadzenie własnego gospodarstwa w domkach góralskich, co szczególnie w sezonach letnich często bywa praktykowane, wypada jeszcze taniej. Można tu zresztą, tak jak to zaznaczyliśmy, urządzić się jak kto lubi. Dla tych, którzy poza powietrzem i rozkoszami wycieczek, pragną życia towarzyskiego, znajdą je tu pulsujące takiem tempem, jak nigdzie indziej, na dancingach i w życiu kawiarnianem w popularnych na całą Polskę lokalach, jak Hotel Bristol, Morskie Oko, Trzaski, Karpowicza, — w zebraniach towarzyskich po pensjonatach, na werandach kawiarń, na których spotyka się w sezonach głównych cały świat literacko-artystyczny, naukowy i polityczny Polski, w salach teatralnych, w czasie występów artystycznych najwybitniejszych artystów...

Dla tych, którzy mają tego powyżej uszu, otworem stoją wrzeciądze Tatr... Tam zdala od ludzi i gwaru, na łonie najcudniejszej przyrody górskiej wśród pawich oczu jezior tatrzańskich i aromatu szmaragdowych łanów kosówki, zapomina się wszelkich trosk i dolegliwości. Wpatrzone oczy w błękit niebios, łowiąc wzrokiem zahaczające o czuby szczytów chmury, rozkoszuje się tem pięknem... pierś odycha głębiej, nerwy się uspakajają i czuje się pełnię rzeczywistego szczęścia...

Niema to jak Zakopane. Niema to jak Tatry. Kto raz tu przybył, raz spędził parę tygodni — nie zapomni ich nigdy i wracać tu będzie, jak nałogowy pijak, by się tem pięknem, tym aromatem, upijać po ostatnie dnie swego żywota.

KAROL KWAŚNIEWSKI

O PIELĘGNOWANIU SKÓRY

„Hej, wiosna jest...!" — śpiewamy rok rocznie gdy budzący się kraj i oblekająca się w zieleń ziemia rodzinna nęci nas do majówek i wycieczek wiosennych, gdy z wszystkich stron witają nas śnieżyczki i krokusy, — gdy zwłaszcza w nastrojowe dni niedzielne — ostatni krzaczek pyszni się pękami kwiatów i w radosnem obudzeniu się ze snu zimowego rozkosznie przeciera oczy i zwraca ku ożywczym promieniom słonecznym.

Później, gdy słońce staje się już stałym towarzyszem naszym, gdy gonimy świat daleki na wyścigi z wiatrami i nic nas odciągnąć już nie może od rozkosznego używania świeżego powietrza, ani deszczyki ani ulewy, konstatujemy, że właśnie ta nasza radość wycieczkowania i rozkoszowania się przyrodą czyni z nas doświadczonych podróżników i uodpornia wszelkim ujemnym skutkom działań atmosferycznych.

Zawdzięczamy to jednak w niemałej mierze stosownej i troskliwej pielęgnacji skóry.

Korzystamy ze starego doświadczenia, że dobrze natłuszczona skóra chroni ciało przed ochłodzeniem w dnie pochmurne i dżdżyste, a nawet burzliwe, w odróżnieniu od skóry nienatłuszczonej, która powoduje subjektywne uczucie chłodu.

Niemniej ciekawem jest wiedzieć, że taki brak tłuszczu w gruczołach odnośnych skóry, pochodzi z częstego mycia się przy używaniu mydeł odtłuszczonych, wobec czego potrzebnym jest znowu jakiś środek, który skórze zwróci jej dawną zawartość tłuszczu.

Takim środkiem wyrównującym jest dla sportowca i wycieczkowca odpowiedni krem lub olejek.

Niestety, niekażdy olejek lub krem działa w sposób funkcyjny skóry, — przeważna część tych środków pielęgnujących skórę nie przenika pod powierzchnię skóry, lecz obleka ją tylko grubą warstwą tłuszczu, nietylko nie pomagając ale nawet szkodząc transpiracji i potrzebnemu poceniu się wskutek zatykania por.

Prawdziwy wyjątek stanowią Nivea-Krem i Nivea-olejek, których najważniejszym składnikiem jest euceryt, pokrewny naturalnemu tłuszczowi skóry, którego to specyfiku nie znachodzimy w żadnym innym środku kosmetycznym. Euceryt ma tę niezwykłą zaletę, że wnika w komórki skóry głęboko w warstwę zrogowaciałą, pozatem posiada własność wchłaniania w siebie większej ilości wody, wskutek czego transpiracja skóry może się odbywać bez przeszkody, jak też wolne i niezatkane pory skóry pozwalają na niehamowaną transpirację. Zatem skóra pozostaje zdrowa i odporna na wszelkie działania wiatru i zmian atmosferycznych — na jakie narażeni jesteśmy właśnie w porze kapryśnej wiosny.

Wiosna powoduje jednak, sama przez się pewne zmiany w strukturze naszej skóry i powoduje u wielu ludzi, iż skóra staje się szorstką i popękaną. Kto więc przed wyjściem na wolne powietrze i wieczorami pielęgnuje swą skórę kremem Nivea lub olejkiem Nivea, zapobiega temu stanowi rzeczy, a nawet skóra staje się miękką i elastyczną wskutek stałego używania kremu lub olejku Nivea.

Jeszcze coś zasadniczego — po długiej zimie, nie dającej możności uprawiania sportów nieraz z przyczyn zewnętrznych, pory roku, ale i braku czasu i zajęć zawodowych, unieruchomiliśmy poniekąd nasze członki ciała, które jakby zardzewiały. Odczuwamy to dotkliwie właśnie podczas pierwszych wycieczek wiosennych, bólem całej muskulatury. Jeżeli potem, w dodatku bez żadnych zabiegów kładziemy się spać po takiej wycieczce, to na drugi dzień nie czujemy się zdolni do żadnej pracy. Bo trzeba wiedzieć, że po pierwszych wycieczkach majowych, by uniknąć lub usunąć bóle muskulatury i stawów, trzeba wziąć gorącą kąpiel i wymasować ciało olejkiem Nivea. Wystarczy nawet sam masaż z funkcyjno skórnym olejkiem Nivea, albowiem oczyszczenie skóry załatwi właśnie olejek; ruchy masażu natomiast pobudzają działalność nerwów dotykowych, co powoduje prawidłowe przekrwienie skóry, ożywienie transpiracji, co wszystko usuwa objawy zmęczenia w muskulaturze, a temsamem też bóle.

Tak odświeżeni i wzmocnieni orzeźwiającym snem po rozkosznej majówce wstajemy następnego dnia znowu gotowi do dalszych wycieczek i tak ożywczych i zdrowych sportów wiosennych.

Dodatek do „Świata Kobiecego"

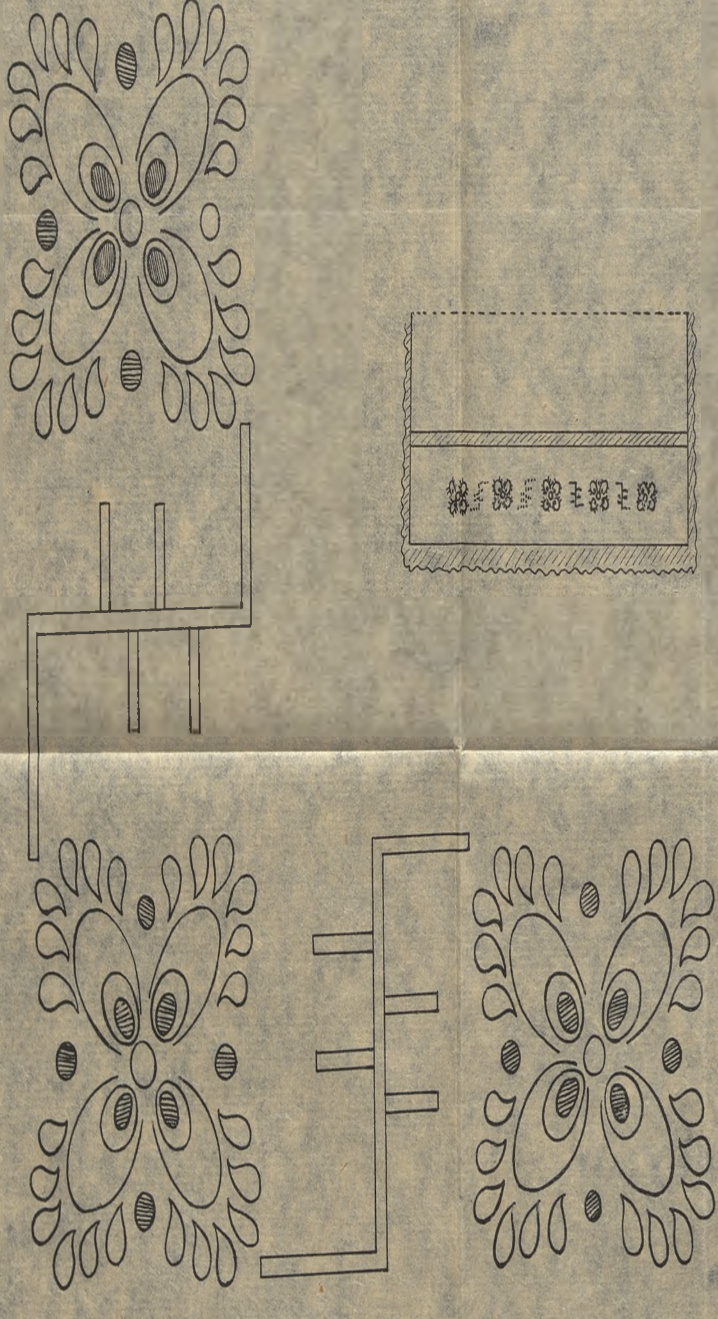
Nr. 14 - rok 1931.

2 narożniki na poszewki

haft, wodny ścieg, mereżki

oddalenie od brzegu 8-10cm.





wzorem tym można

też ozdobić fartuszek

na kołdrę w wyżej

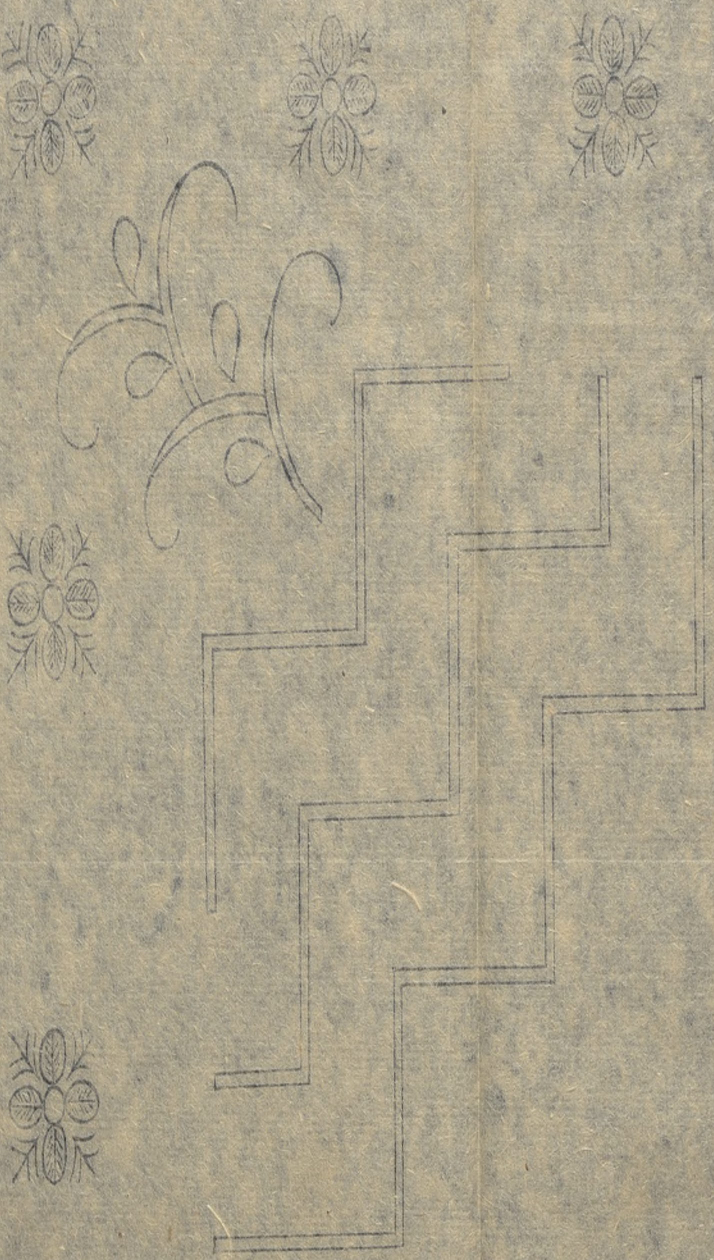
podany sposób ~

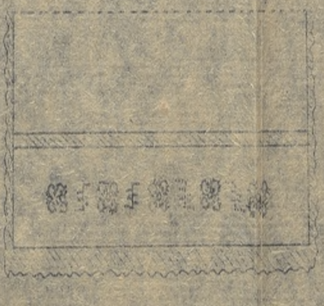
M. Feczkowa.

Dodatek do Świata Kobiecego Nr 49 rok 1931

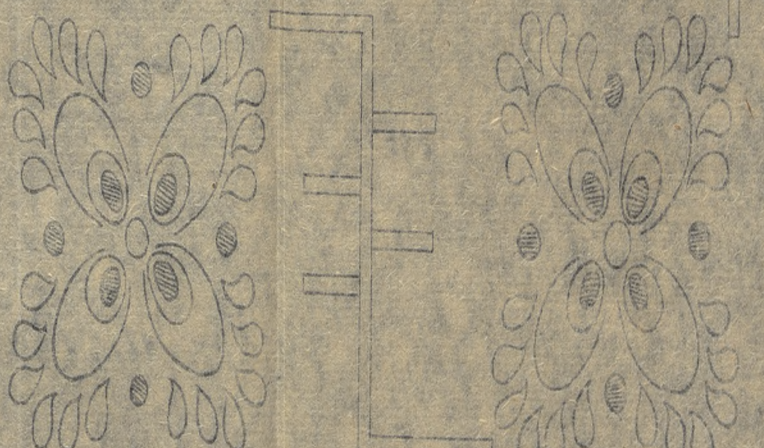
2 wzoreczka na poszewki

haft według szeg. wzoreczka odkładamy od brzegu 8-10cm









wzorem tym można też ozdobić fartuszek na kołdrę w każdy podany sposób –

M. Juchno.